

DZIS & JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V

Warszawa, 9 październik 1949 r.



119013

Nr 40 (202)

TREŚĆ NUMERU: E. Mannin — Noc pośród głębokich nocy; W. Kętrzyński — Światła i cienie nad Wielkim Miastem; Z. Leszczyński — Sprawy najprostsze; A. Pogonowska — Wiersze; E. Paukšta — Wprowadzenie w problem; K. Zajczniewski — Jeszcze o humanizmie chrześcijańskim; M. Bohdańska — O pewnej mało atrakcyjnej cnotce; Tydzień kulturalny;

Mieczysław Kurzyński

MIĘDZY IDEOLOGIA I RACJAMI POLITYKI

Książka, o której piszę*), należy do kategorii tych zjawisk, literackich, których omawianie przez radza się mimo woli w wyznaczonej wiary recenzenta i staje się okazją do kodyfikacji własnych poglądów czytelnika. Już to samo winno być przyjęte jako wysoka ocena jej wartości.

W tym jednak konkretnym wypadku przedmiot literacki jest tym bardziej interesujący, że stał się nową skończoną całością i że właściwie percepcja obejmuje wszystkie niemal dziedziny wzruszeń, jak i wszystkie niemal sprawy światopoglądowe, poczynając od poglądu na naturę pojedynczego człowieka poprzez zagadnienia życia społeczeństwa, aż do ostatnich krawędzi dotyczących porządku wszechświata.

I mimo woli rodzi się pokusa, żeby pisać w książce o książce, tym więcej, że i dla badacza literatury „Srebrne Orły” są zjawiskiem wyjątkowo ciekawym. Skomplikowana a przecież przejrzysta kompozycja Parnickiego, umiejętność wiązania poszczególnych wątków, środki ekspresji, wybiegające stale poza szablon, a obejmujące ogromną skalę od chwytów lirycznych aż do naukowego niemal opisu, wymagałyby osobnego studium.

Ponieważ jednak, poza wypadkami wyjątkowymi, niedobrze jest pisać książkę o książce, trzeba wybierać, narzucając czytelnikowi obowiązek poznania oryginału i dopowiedzenia tego wszystkiego, co powinno być powiedziane i przeżyte.

Na gruncie wyboru wydaje się, że najbardziej istotnym będzie spojrzenie na „Srebrne Orły” jako na rzadki w naszej literaturze okaz utworu literackiego, będącego artystycznym wyrazem problematyki politycznej i co więcej dającego w kształcie artystycznym nie tylko sumę luźnych refleksji, ale niemal system, przekonywający swoją zawartością i konsekwencją. Zaznaczyć przy tym należy zaraz na wstępie, że tego rodzaju sublimacja myśli politycznej w kształt artystyczny jest na ogół niebezpieczna i to tak bardzo, że w moim rozumieniu usprawiedliwiona być może niemal jedynie w powieści historycznej; że jeśli dotyczy spraw programowych, staje się niemal zaw-

szym grobem wartości artystycznych utworu.

Tym więcej dziwić się należy, jak Parnicki potrafił sobie poradzić z tematem i zagadnieniem, dając literaturze polskiej utwór, jeden z najwybitniejszych na przestrzeni przynajmniej dwóch ostatnich dziesięcioleci lat.

NA GRUNCIE HISTORYCZNYM

Akcja powieści „Srebrne Orły” obejmuje okres od roku 995 do roku 1016, choć wybiega, jeśli chodzi o losy bohaterów, nieco głębiej w przeszłość, (o tyle jednak tylko, o ile jest to autorowi potrzebne dla zaznaczenia ciągłości zjawisk historycznych). Biorąc rzecz formalnie „Bohaterem książki” jest irlandzki mnich Aron, którego zdolności lingwistyczne i filologiczne wyrwały z wyspy i rzuciły najpierw do Rzymu, a później przez Francję, Hiszpanię, Maurycję, znowu Francję, Niemcy aż do dalekiej Polski.

Oczywiście też Arona patrzymy przeważnie na wypadki historyczne. Ba, nie tylko oczyma, jego myślimi, odczuciami, a nawet podświadomością. „Srebrne Orły”, to przecież także powieść o skrytych uczuciach duszy ludzkiej, od krywanych, nazwijmy to po imieniu, za pomocą psychoanalizy. Przy tym autorowi udało się uniknąć (poza pewnymi fragmentami ostatniej partii powieści) nie tylko anachronizmu, ale nawet nadużywania badań psychoanalitycznych jako środka ekspresji.

Zasadniczo jednak istotnym ośrodkiem książki jest Bolesław Chrobry, a ściślej mówiąc zmaganie się racji stanu młodego Państwa Polskiego z dążeniami politycznymi Cesarstwa Rzymskiego i Narodu Niemieckiego i Papieństwa.

I tu występuje pierwsze nowum powieści. Parnicki ujmuje dzieje Polski operując nie wydanymi, dziejącymi się nad Wartą, Wisłą, Dunajem czy Dnieprem, lecz traktując je jako wykładnik wypadków całego ówczesnego świata, a zwłaszcza jego centrum — XI-wiecznego Rzymu. Pozwala mu to uniknąć tego, tak rażącego w wielu polskich powieściach historycznych rysu megalomanii narodowej. I rzecz ciekawa, wielkość Chrobrego występuje na tym tle tym silniej, może nawet za silnie. Jednym z zarzutów, nielicznych zresztą, jakie na leżałyby postawić Parnickiemu

jest zbyt koturnowość pierwszego króla Polski. Choć bowiem Chrobry występuje w powieści tylko na kilkudziesięciu stronach — myśl jego sięga tak daleko, że mimo woli rodzi się niedowierzanie. Cóż jednak robić — autor jest doskonałym historykiem, jego poprzędnia i pierwsza zarazem powieść „Aecjusz Ostatni Rzymianin” jest z punktu widzenia historycznego bezbłędną i nie sposób zarzucić mu nadużywania faktów historycznych.

Jeśli postać Bolesława przynięta, to raczej jako konstrukcja psychologiczna, niż jako postać historyczna. Być może, że wrażenie to powstaje w związku z rzuceniem myśli politycznej wielkiego Piasta na tło sporu o władanie nad światem między Bizancjum a Cesarstwem Zachodnim. Niesposób bowiem uwierzyć, że Chrobry rozporządzał taką znajomością swojej epoki, jak autor „Srebrnych Orłów” erudycją przedmiotu historycznego. I dlatego, choć ugruntowanie władztwa Bolesława musiało wynikać z tego układu sił politycznych, który przedstawia Parnicki, choć istotnie na gruncie erudycji autora niesposób inakzej tłumaczyć powodzenia czy klęsk Polski w pierwszych latach naszego tysiąclecia, mimo woli wzdramy się przed przyjęciem tezy, że było to zawsze działanie świadome i nadludzkie niemal wykorzystywanie wszystkich sprzyjających koniunktur, a nie jedynie ich szczęśliwy, niemal nieświadomie przyjmowany układ.

Dotychczasowe ujęcia literackie początków Państwa Polskiego, jeśli nawet wybiegały poza jego granice, to uwzględniały w najlepszym razie antagonizm między Cesarstwem Niemieckim a Papieństwem. Wielką zaletą trzymotowego cyklu Grabskiego jest to, że dołączył do tej problematyki także sprawy morskie. Wszyscy jednak opracowujący ten temat kończyli najczęściej Europę na ówczesnych granicach wschodnich Polski, mało interesując się tym, co działo się na wschodzie i południu. Szerzej już widzieli rzecz historycy kultury, którzy dostrzegali promieniowanie Bizantyjskiego ośrodka cywilizacji na Polskę i rozumieli, że następne tysiąclecie naszej historii mogło być wyznaczone tak samo niemal przez Rzym, jak Konstantynopol.

Bodaj że jednak pierwszy dopiero Parnicki rywalizacją dwóch centrów świata: zachodniego i

wschodniego tłumaczy także dzieje polityczne. Uwzględnia przy tym także dążenia, rodzące się w Azji Mniejszej, przewroty w arabskiej Kordobie i zmiany w państwie Islamu. To jednak, co wydaje się najistotniejszym rysem jego wielkości historycznej, dzięki której osiągnął także pełnię wyrazu artystycznego w powieści, to najgłębsze, jakie dotychczas spotkałem w literaturze, ujęcie mechanizmu politycznego, uwzględniające nie tylko związek faktów politycznych, ale także ich przyczyny.

SILY POLITYKI

Na siedemdziesiątych stronach omawianej powieści rozgrywa się scena rozmowy między wyrostkiem rzymskim z możnego rodu hrabiów na Tusculum, Tymoteuszem a Ojcem Świętym Grzegorzem V-tym. Wypędzany z Watykanu i Rzymu Papież pyta, dlaczego lud stolicy złamał mu wiarę; dlaczego wypędził. Młody potomek rodu, którego potęgą opiekowała się na bogactwie winnic tuskulańskich — tłumaczy. Najpierw powołuje się na niechęć Rzymu do Niemców, a później w przystępie szczerości objaśnia: **bunt w Rzymie wywołało piwo.** Nastroje ludu, „gniew Kwirytów”, „troska o Rzeczpospolitą”, to wszystko podsycałi umiejętnie i niewidocznie dla otoczenia hrabiowie tuskulańscy, zaniepokojeni, że przybysze z północy nie będą chcieli pić ich wina, że umniejszą ich dochody. Jest to jedna z najbardziej może charakterystycznych scen powieści. Parnicki odkrywa dwa mechanizmy dziejących się wypadków, nastroje uczuciowe i interesy ekonomiczne. Te drugie są przy tym ważniejsze.

Nie jest to jednak zakończenie w poszukiwaniu sił doprowadzających do upadku tronu i księstwa. Parnicki dostrzega cztery zasadniczo siły polityczne. Nimi też tłumaczy fakty. W tym ujęciu jest na wskroś nowoczesny i trudno zaprzeczyć mu racji, kiedy sugeruje taką mniej więcej hierarchię w mechanizmie dziejowym.

Dążenia ekonomiczne (w powieści konkurencja piwa i wina).

Dążenia indywidualne jednostek.

Wpływ świadomej działalności politycznej ośrodków ówczesnego imperializmu.

Przemiany historyczne całego świata, obejmujące zarówno zmia-

ny sposób gospodarowania, jak zmiany ludzkich przyzwyczajzeń i ludzkich osobowości.

Koło się zamyka. Indywidualne dążenia, ambicje i upodobania muszą ustąpić interesom ekonomicznym, te z kolei są sprytnie wykorzystywane przez świadomych twórców historii, by doprowadzić do nowych przemian już niedodracalnych.

O tym, że tak się dzieje, że tak jest i być musi, wiedzą tylko najmądrzejsi w powieści; Papież Sylwester II i Bolesław Chrobry. Nawet politycy bizantyjscy, którzy na owe czasy są właśnie najbardziej świadomymi reżyserami wydarzeń politycznych, którzy najsprytniej umieją posługiwać się i jednostkami i siłami społecznymi, nie dostrzegają zmiany epoki i dlatego w konsekwencji przegrać muszą.

Mędrzec Gebert, późniejszy Papież Sylwester II, przeczuwa, że budowane przez niego imperium światowego władztwa Rzymu jest skazane na zagładę. Dlatego pragnie stworzyć inne władztwo — światowe imperium ducha, oparte o mądrość w służbie dobra. Posługuje się siłami militarnymi: Otona, lecz ma świadomość, że odstępuje od zasady. To odstępstwo, choć na owe czasy niezawinione, staje się przecież jego winą tragiczną i jak każda jednostka, wyrastająca ponad epokę — Gebert Sylwester ginie.

Jeśli we wstępie do recenzji ze „Srebrnych Orłów” powiedziałem, że Parnicki zmusza do zastanowienia we wszystkich niemal dziedzinach poglądu na świat i człowieka, to tutaj ta sprawa nabiera specjalnej plastyki.

Sylwester II jest humanistą w najbardziej chrześcijańskim rozumieniu tego słowa i tworząc tę postać Parnicki włożył w nią najbardziej może nowoczesne ujęcie humanizmu chrześcijańskiego. Według jego zasad każdy wytwór ludzki jest mniej wart od samego człowieka. Dusza ludzka ma cenę całego świata. I tu Parnicki jest zarazem i nowoczesny i na wskroś średniowieczny. Intelktualista i naukowiec Aron jedzie do Kordoby wykupywać na zlecenie Sylwestra II jeńców chrześcijańskich. **Mądrość i wiedza są po to, by służyć dobroci i by pomagać tym, którzy nie umieją nawet napisać swojego imienia, ale którzy posiadają duszę nieśmiertelną, odkupioną przez Chrystusa-Boga.**

(Dokończenie na str. 2)

* Teodor Parnicki — „Srebrne Orły” Książnica Atlas. Wrocław — Warszawa 1949, str. 547.

Raz jeszcze trzeba zaznaczyć, by sprawa ta nie zanikła w mnogości dalszych, które wylaniają się z utworu Parnickiego. „Srebrne Orły” są powieścią na wskroś katolicką, autor rozumie chrześcijaństwo w najbardziej istotnej jego treści, a że przy tym jest głęboko mądry, więc potrafi patrzeć na grzech ludzki i na duszę ludzką z wielką pobłażliwością mędrca i wielką miłością prawdziwego wyznawcy Chrystusa.

Katolicki pogląd na świat i pod kreślone przed chwilą chrześcijańskie widzenie nauki, sztuki, cywilizacji, nie skłania Parnickiego do tendencyjności.

Sylwester II nie wypełnił zobowiązania zaciągniętego przez Cesarza Ottona wobec Bolesława. Koronę przeznaczoną dla Polski otrzymał władca Węgier. Jak już powiedziałem, to może stanowiło winę tragiczną Papieża, że w swoich celach budowania światowego imperium posługiwał się do czasu siłą drużyn saskich i potęgą polityczną niemieckiego cesarza. Jeśli nie mógł postępować inaczej, jeśli epoka wymagała takiego właśnie działania, tym mocniejszy jest rys tragiczny w sylwestrze Geberta — Sylwestra.

Dwa fakty wykraczające poza charakterystykę losów osobistych Papieża należy przecież w tym miejscu podkreślić. Chrobrzy nie otrzymał korony i nigdy nie przyjechał do Rzymu, do czego był przecież zobowiązany jako Patrycjusz Imperium i Nosiiciel Srebrnych Orłów.

Należy także zaznaczyć, że to ostatnie zdecydowało o jego politycznym powodzeniu, a także o przyszłości Państwa Polskiego. I tu wchodzimy w nową sprawę: losy Polski, przedstawione przez autora „Srebrnych Orłów”.

POLSKIE SPRAWY

Omawiając siły polityczne, jakie dostrzega Parnicki w historii, wyodrębniłem jako jedną z naczelnych przemiany historyczne społeczeństw. Otóż jeśli spojrzeć oczyma Parnickiego na przedstawioną przez niego w powieści „Srebrne Orły” epokę, to można by ją nazwać okresem rodzenia się nacjonalizmów i odrębności państwowych. Niepowodzenie planu Sylwestra II i Ottona stworzenia różnorodnego imperium światowego wynikało w gruncie rzeczy nie z kontrakcji Bizancjum, ale właśnie z tych nowych sił, które budziły się w Polsce, na Rusi, w Czechach, Węgrzech i całej niemal Europie.

Jak już zaznaczyłem Sylwester II rozumiał, czy może raczej przeczuwał tylko ten proces. Bolesław Chrobrzy, jeśli nie miał nawet jego świadomości, choć Parnicki sugeruje, że Bolesław rozumiał dziejące się przemiany, to był w każdym razie wyrazicielem nowych tendencji. Światowładne plany Ottona traktował jako utopię i głęboko trzymał się faktów, które jedynie w polityce mają znaczenie. Dlatego do Rzymu nie pojechał. Dlatego nigdy Kapitol nie zobaczył osoby Patrycjusza Rzymskiego.

Oto fragment końcowej rozmowy Chrobrzego z synową, siostrzenicą Ottona III, Rychezą:

(Rycheza) — „Przyznaj, żeś bluźnił, jakem rzekła, i pamięci Ottona Przedziwnego, i swojej mocy wspaniałej. Nie wierzę, by się mogło nie spełnić coś, czegoście wy obaj pragnęli. Dawno by orły przed tobą na Kapitol poniesiono, gdybyś jeno zechciał. Nie zechciałeś. Wzywał cię Otto Przedziwny: „Przyjdź, wesprzyj mnie potęgą swoją!” Nie przyszedłeś, nie wsparłeś. Nie miłowałeś Przedziwnego tak, jak on ciebie.

(Bolesław) — Miłowałem, dziecko. Ale ci już rzekł: Tegom tylko zwykł pragnąć, co osiągnąć zdołam.

(Rycheza) — Osiągnąłeś Patrycjusza Romy dostojność wspomniała. Tak sam osiągnąłbyś diadem święty cesarski.

(Bolesław) — nie osiągnąłbym, Rychezo. Tak samo, jak wuj twój Otto nie osiągnąłby nigdy tego, by się odrodziło Imperium Rzymskie w kształcie takim, jaki był mu miły. Sam bowiem Chrystus tylko wskrzesić mógł Łazarza pogrzebanego, a Otto nie był Chrystusem. Więcej ci rzeknę: Nawet tego by Otto nie zdołał osiągnąć, bym Patrycjuszem Rzymu naprawdę był.

(Rycheza) — Byłeś Patrycjuszem.

(Bolesław) — Istotnie, spodobano się Ottonowi tak nazwać mnie, Rychezo. Ale to był dźwięk jeno pusty. Mogę być i będę potężnym królem Słowian, niczyjej, jak Chrystusa tylko, władzy nad sobą nie uznaję, ale Rzymem Słowianin władać dziś nie może ni jako cesarz, ni jako Patrycjusz...

W przytoczonym powyżej fragmencie mieści się synteza całej mądrości politycznej Bolesława, całej mądrości politycznej Parnickiego. Zasada dążenia do tego tylko w polityce, co jest w danym okresie osiągalne i świadomość, co osiągalne być może stanowi podstawową mądrość męża stanu. Nie ma w tym przecież cynizmu. Nie ma także konfliktu ideologicznego między Polską a ówczesnym Rzymem. Jest tylko rozłożenie na etapy i dostosowanie do wymogów geopolitycznych własnego narodu wyznawanych zasad.

Sylwester II nie wierzy w przyjazd Bolesława do Rzymu, dlatego koronę otrzymał król Węgier. Bolesław nie pomniejsza idei imperium ducha, zbudowanego w Rzymie na gruzach mocy politycznej Cesarstwa.

Ale Bolesław do Rzymu nie jedzie i nie pojedzie nigdy. Dla ducha bowiem, dla idei światowej jedności kultury i nauki nie ma granic, ani odległości, natomiast realny polityk może przyjąć tylko jedną zasadę, którą Parnicki wkłada w usta Chrobrzego: „Chcieć tyle tylko, ile każdego dnia osiągnąć można”.

I naprawdę, podziwiać należy autora, który pisząc swoją książkę w trzecim roku najstraszniejszej z wojen, potrafił tak głęboką prawdę zrozumieć i tak mocno ją przeżyć, by nic na tym nie stracił artystyczny kształt jego utworu.

U ŹRÓDEŁ PIĘKNA

Wyjątkowość pracy krytyka literackiego w stosunku do badaczy innych specjalności polega między innymi na tym, że stosunkowo często zmieniają się tutaj kryteria wartościowania. Na przestrzeni ostatnich lat pięćdziesiąt, a zwłaszcza w okresie powojennym, przeżyliśmy upadek jednej z najpowszechniej przyjętych metod badawczych, tzw. formalizmu. Nie pora tutaj na rozważania nad szczegółami tego zagadnienia. Zaznaczyć jednak wypada, że estetyka, a specjalnie estetyka dzieła literackiego, coraz bardziej wiąże system norm piękna (jeśli o normach można mówić) z poglądem na świat, z widzeniem rzeczywistości pozaliterackiej czy pozaartystycznej w ogóle.

Dyskusja na temat realizmu o te zagadnienia specjalnie mocno zahacza i stanowi jeszcze jeden dowód ubóstwa metody, ograniczającej się do rozpatrywania chwytów, czy tropów jako jedynej miernika sztuki dzieła.

Niestety, popełnia się często błąd, polegający po pierwsze na wiązaniu wartości estetycznych bezpośrednich z tym, co można by nazwać ideologią zjawiska literackiego, po drugie zaś na szukaniu realizmu w tak zwanych realiach, szczegółach, kolorytu lokalnego, właściwości gwary, drobiazgowości opisu itp.

Wydaje się przecież, że rzecz polega na czym innym. Powieści Parnickiego niesposób odmówić realizmu i to wysokiej klasy. To, co powiedziałem o rozumieniu przez autora „Srebrnych Orłów” procesów politycznych, o plastyczności przedstawienia tendencji epoki, którą opisuje, świadczyć może już dostatecznie, że istnieje adekwatność między rzeczywistością fikcji literackiej „Srebrnych Orłów” a historycznym konkretem, który przedstawiają. A przecież Parnicki nie bawi się w szczególności w nagina faktów, jak już zaznaczyłem, do swojego widzenia świata. Idzie tak daleko, że bohaterowie jego powieści przemawiają nawet nie językiem słów, czy układów zdaniowych, charakterystycznym dla rozmów czy monologów, ale stale posługują się doskonałą prozą autora.

Rozmowy czy monologi w „Srebrnych Orłach”, to przede wszystkim myśli i autor więcej troszczy się o głowy, w których się zrodziły, niż o usta, które je wypowiedziały. I powtarzam, wcale to nie załamuje wrażenia czytelnika. Może dlatego, że Parnicki tworzy konstrukcję psychologiczną, bardzo zwarte, niemal niejednostkowe, wpadające w to, co można by określić nieścisłym mianem typów ludzkich przy użyciu całego aparatu nowoczesnej psychologii, a zwłaszcza psychoanalizy.

Jak już zaznaczyłem na wstępie w powieści istnieje tylko kilka załamań tego środka artystycznego. Będą to sny Arona w ostatniej części powieści itp. usterki. Na ogół ludzie Parnickiego żyją, są konsekwentni i doskonale, nadzwyczaj plastycznie pokazani. Autor zna wielką prawdę sztuki utworu literackiego, że mniej trzeba opisywać cech ludzkich, a więcej pokazywać ich skutki. Myśli Arona, Tymoteusza, czy Sylwestra, ich działania i stosunek do wypadków wystarczą, by stworzyć jeden jeszcze rys realizmu tej powieści.

Naturalnie, Parnicki nie gardzi także obrazem i często bywa tutaj mistrzem. Wychowany na kulturze klasycznej stosuje pewne chwytły na wzór Homerowych epitetów, powtarzając je wielokrot-

nie, że wspomnę tylko o ubiorze mnichów, buntujących się przeciw szarzyźnie kluniackiej reguły i manifestujących swój bunt „kogucimi piórami i spodniami bardzo luźnymi u dołu, bardzo obcisłymi u góry, o jednej nogawicy żółtej, drugiej zaś czerwonej”. Ta kultura klasyczna jest jeszcze jednym urokiem powieści i pozwala przypomnieć sobie, jak może wyglądać dobre rzemiosło literackie, o które, niestety, w polskiej literaturze powojennej bywa trudno.

W ogóle stylistą Parnicki jest niepośrednim. Tak długich okresów, dźwięczących spadkami zdań i poprzedzielanych rytmem, od czasu najlepszych utworów Parandowskiego, niemal się nie spotyka.

Tak więc, sumując, wydaje się, że obok kwestii formalnych realizm Parnickiego polega na właściwym widzeniu rzeczywistości i właściwej koncepcji człowieka. Jak powiedziałem, autor „Srebrnych Orłów” unika środków najbardziej pospolitych, nie bawi się w realia tam, gdzie jest mu to nie potrzebne, osiąga pełną plastykę kolorytu historycznego i lokalnego. Podkreślał jednak, że w moim rozumieniu głębokie poczucie zgodności między rzeczywistością fikcji literackiej „Srebrnych Orłów” a obiektywnymi danymi historii polega na właściwym rozumieniu i polityki, i historii, i duszy ludzkiej. To stanowi także najistotniejszą wartość artystyczną „Srebrnych Orłów”, zwłaszcza koncepcja człowieka.

Najpospolitszym miernikiem sztuki dzieła literackiego jest zdolność wywoływania w czytelniku wzruszeń natury estetycznej, intelektualnej i uczuciowej. Po to, żeby to było możliwe, bohaterowie książki muszą być nam bliżsi, mówiąc inaczej, trzeba, że by byli w pełni zrozumiali. Parnicki takich bohaterów stworzył. Jego ludzie, żyjąc na przełomie pierwszego i drugiego tysiąclecia, są w istocie swego człowieczeństwa nami. I powtarzam, nie ma tu żadnego anachronizmu. Jest głębokie widzenie prawdy duszy ludzkiej. Przypominam, że na ścianach prehistorycznych jaskiń znaleziono rysunki, świadczące o dążeniu do piękna najprymitywniejszych przedstawicieli gatunku homo. Jestem głęboko przekonany, że nie ma żadnych przeszkód, by traktować, uwzględniając, rzecz prosta, stopień rozwoju ludzkości, dążenia mnichów XI wieku podobnie jak tęsknoty współczesnych. To chyba jest najgłębszą wartością sztuki Parnickiego, jeśli poszukiwać go będziemy nie tylko w oderwanych chwytach literackich, ale w rozumieniu nowoczesnej, zaciebiającej się o ontologię, estetyki.

Dwie jeszcze rzeczy podkreślić należy na zakończenie. „Srebrne Orły”, to jedna z najciekawszych powieści także pod względem kompozycyjnym. Po drugie, zasta nawiający jest stosunek Parnickiego do tego, co określiłbym prawdopodobieństwem fabuły powieściowej.

Kompozycja „Srebrnych Orłów”, gdyby przedstawiać ją graficznie, przypominałaby spiralną antenę pokojową, z której utworzone zamknięte koło. Autor wie lokrotnie wraca do faktów już zaznaczonych, cofa się i znowu idzie naprzód, całość zaś utworu zamyka w klamrę dziejów Arona w Polsce. Stosuje przy tym ogromnie interesujące i różnorodne związki kojarzeniowe, co pozwala mu bez zgrzytu przerzucać się od opisów do refleksji, od Krakowa do Rzymu, od obrazu szczegółu do zapoznania czytelnika z prawdą ogólną. A że jest przy tym mi-

strzem metafory, że posługuje się często nawet symbolem, więc i z tego względu lektura „Srebrnych Orłów” staje się źródłem zupełnie nieprzeciętnych emocji.

Te emocje bywają tak silne, że pozwalają zapomnieć, w którym miejscu znajduje się sam autor. Nie razi nas jego wszechwiedza i nie oburza na ogół mało prawdopodobne przerzucanie Arona z jednego krańca Europy w drugi po to, by móc pokazać całość europejskiej problematyki politycznej. To, co w innym wypadku stawałoby się drażniące swoją naiwnością, tu przedstawia się jako walna zaleta, bo w gruncie rzeczy jest nam obojętne, czy Aron mógł być w Kordobie, czy nie. Istotnym się staje, jak się toczyły wypadki i ile jest konsekwencji w strumieniu myśli, które mają w powieści swój własny dramatyczny żywot.

We wstępie do tej recenzji napisałem, że przy omawianiu „Srebrnych Orłów” trzeba się ograniczyć do wyboru niektórych tylko zagadnień. W przeciwnym razie, zamiast recenzji, powstałaby książka. Z konieczności też zaledwie zaznaczyłem to wszystko, co można by o „Srebrnych Orłach” napisać. Dwie jednak rzeczy z gatunku najdrobniejszych chciałbym na zakończenie przytoczyć. Pierwsza z nich, to parę słów charakterystyki Arona. Ten wybitny intelektualista, spowiednik cesarza i ulubieniec Papieża, ocierający się o najintymniejsze problemy polityczne, przez całe swoje życie nie umie zrozumieć mechanizmu wydarzeń politycznych. Wydaje się, że Parnicki doskonale uchwycił różnicę między cechami, jakie powinien posiadać mąż stanu a tymi, które reprezentuje naukowiec. Czytelnicy „Srebrnych Orłów” powinni zwrócić na tę sprawę także uwagę.

Na zakończenie drobny cytat świadczący o tym, jak głęboko rozumie autor „Srebrnych Orłów” duszę ludzką i jej drgnięcia w stosunkach z drugim człowiekiem.

„Aronem znów wstrząsnęła fala przenikliwego, kłującego zimna, gdy nagle wyobraził sobie to, co dlań było najstraszniejsze: nie Bolesława rozgniewanego, ale Bolesława drwiącego. Och, jakąż nie wysłowioną zaiste mękę sprawia widok oczu chytrze przymrużonych, a równocześnie zimnych, jakby zeszlonych, pełnych groźnego zdziwienia, zdających się mówić: toś ty, bracie, tylko taki? Na tyle cię tylko stać?...”

Mieczysław Kurzyński

Stanisław Podlewski
„Przemarsz
przez Piekło”

Dni zagłady Staromiejskiej
dzielnicy w Warszawie

2 t. — 1.300 zł.

Wydawnictwo:

MIECZYSLAW
FUKSIEWICZ i S - ka

Warszawa, Nowogrodzka 37

do nabycia

w wszystkich księgarniach

Popierajcie

Katolicki Uniwersytet
Lubelski

Ethel Mannin

tłum. Janina Kolendo

NOC POŚRÓD GŁĘBOKICH NOCY

Interesujące jest działanie uroku „Wyznań” św. Augustyna na niekatolików. Autorka książki „Późno Cię pokochałem”, z której fragment w przekładzie poniżej podajemy, przedstawia dzieje świetnego pisarza angielskiego, który na przełomie burzliwej choć beztrudnej młodości przeżywa nawrócenie i wstępuje do klasztoru. Fragment ten poprzedzony jest w książce obrazem życia przedstawiciela „górných dziesięciu tysięcy” w okresie międzywojennym.

Powrót jego w góry spowodowały wyrzuty sumienia, które go zadreślały, aż do zupełnego upadku w pijaństwie. W tych górach straciła przez niego życie jego siostra, jedyny człowiek, którego na prawdę kochał. Straciła życie wskutek jego niedbałości, braku ostrożności.

Trafił na „Wyznania” Augustyna, które podnieciły działanie jego wyobraźni, złamały bezwład, wstrząsnęły zdolnością wiary i miłości do Boga, porwały konsekwencją działania.

Następne części, w których Francis Sable działa w zakonie są już słabsze, znać w nich bowiem brak u autorki „sensus catholicus”.

Przez dwa dni przesiadywał Francis pod kasztanami nad rzeką, na polanie w lasach Kapuzinerbergu, pośród róż ogrodu Mirabelle, w kawiarniach Śródmieścia. Czytał o młodzieńczych żądach Augustyna, licznych, tajemnych miłościach, czytał o Augustynie oplakującym zmarłą Dydonę, która z miłości odbiera sobie życie, czytał o Augustynie wyzywającym się w niepoohamowanej potrzebie kochania i bycia kochanym, włóczącym się po ulicach Kartaginy z towarzyszami jak on młodymi i równie beztrudnymi, o Augustynie rozpustnym, pełnym dzikich pasji, o tym, który mówił — „Jeszcze nie kochałem, a już rozkoszowałem się myślą o kochaniu”. O tym, który niczego nie ukochał, choć kochał miłość samą.

Chwilami Francis zamykał książkę w poczuciu, że wszystko, co czyta, jest zbyt osobiste, zbyt intensywne... Nie wytrzymał podobieństwa.

Tajemne miłości w starej Kartaginie, tajemne miłości w dzisiejszym Paryżu: w stuleciu czwartym czy dwudziestym jedynaki są ludzkie tęsknoty i marność człowiecza. Chociaż odkryty ciałem, duch nasz krąży wśród gwiazd. W takich chwilach Francis Sable wsuwał książkę do kieszeni i siedział wzdłuż rzeki, czy za chybikim pędem rzeki czy po oddalonych szczytach; zwracał się ku różom opadającym na kaskadę poprzez pergole i nie dostrzegał ani rzeki, ani gór, ani róż, ale widział Merilese z ciemną chmurą włosów, Sue o udręczonych oczach, Lottę z roześmianą twarzą dzieciaka, widział ukrytą w dionach twarz matki i chłopca imieniem Johny, jak zaślepiony ucieka z pokoju. Przeżycia swoich nocy i dni; łatwe uniesienie, zapieranie się miłości, wszystko zamiatwane, rozwichrzane, bez kształtu.

Odkrył tajemną wędrowkę do Kresu nocy, czarnej nocy Twojego serca, choć zostawiła cie ona w mroku bez dna. Nie zaznałeś ukojenia. Augustyn odkrył Cycerona, jak ty

odkryłeś Augustyna, ale nie wiedziałeś w istocie, czego szukasz; ale było w tobie niezadowolone, pożerał cię niedosyt; Augustyn poznał to wszystko w wieku czwartym — wspaniałe sukcesy aż po nagrodę za poemat — pomyślał ironicznie.

Zdawało się, że nie było nic takiego, czego by Augustyn nie przeżywał czy w zakresie potrzeb ciała, czy niepokoju ducha.

Głęboko był poruszony czytając, jak Augustyn opisuje ból po stracie ukochanego przyjaciela, którego określał jako „polowę duszy swojej”. Porównywał swój stosunek do Cathryn „Dziwiłem się, że inni ludzie żyją, a bardziej jeszcze dziwiłem się, że choć on nie żyje, żyje ja, który byłem drugim nim po prostu”. Śmierci przecinającej życie, które jest prostą rośliną, męki duszy, przynajmniej go ciężaru nieszczęścia nie jest w stanie zmniejszyć „ani w miłosnych rozkoszach, miękkim posłaniu, ani w księgach wreszcie, ni w poezji”.

Ziemia pod stopami stała się „miejszem, gdzie ani pozostać nie mogłem, ani się stamtąd wydobyć. Dokąd bowiem uciec mogło serce moje od mojego serca?”. Augustyn miotany niepokojem cierpienia uszedł z Tagasty do Kartaginy... a ty, Francis Sable jeździsz pomiędzy Francją, i Austrią; ale twoja udręka idzie z tobą. Augustyn odszedł, a ty powracasz...

Opuścił Salzburg we czwartek i złapał jeszcze popołudniowy pociąg do Schultzburga, roz poczynając stamtąd pieszą wędrowkę; zaledwie wczoraj, a jednocześnie wieki temu przebywał tę górską drogę wraz z Cathryn.

Wynosząc się ponad inne szczyty stał Drindelhorn biały w czystym błękitnie nieba. Widziany od strony doliny zdawał się tak spokojny; nieskalana biała cisza; ani śladu tego osłepiającego wicheru, co stara się zerwać uczonego u kłamcy.

Szedł powoli w jasnym słońcu popołudnia rozmyślając nad człowiekiem, który przed sześćsnastoma wiekami żył, kochał i cierpiał, poznał, czym mogą się stać wyrzuty sumienia, rozmyślał nad człowiekiem, który wielbił piękno; był nim urzeczony.

Augustyn pisarz, uczony, filozof — i bon vivant. Augustyn szuka oszołomienia wśród tłumów, odkrywa straszliwą nieprawość, wymyślne zakłamanie towarzyskiego życia, zewnętrznego materialnego świata... A może zawsze wiedział, że wszystkie przyjęcia, zabawne rozmowy i sukcesy, że wszystko to było obłudne? Zjawiała się blaga pod hasłem wspaniałej zabawy i kłamstwo „kocham Cię”, które rzucają usta, gdy trzymasz w ramionach urocze ciało, a pożądanie pali ci krew; dawałaś wykretną odpowiedź... Twarz płomienna żądzą, i pustka — smutek zaspokojenia. Były romantyczne udawania i sentymentalne kłamstwa, oszukiwanie samego siebie... i biały szczyt Drindelhornu, równie czysto zarysowany na tle nieba jak wówczas, gdy Augustyn z Hippony pisał o początku i rzeczach ostatecznych, gdy chwiał się Rzymski Imper-

rium, a Wandale stawali u bram jego rodzinnego miasta.

Imperia i wojny, rewolucje przemijały, jak się jawią i nikną twory wyobraźni, wzrastały, traciły swą moc popadały w ruinę cywilizacje, ale biały Drindelhorn trwał nieustannie symbol wiecznej, niezmiennej w czasie prawdy.

Francis wspiął się aż do wstępu skalnego ponad lodowcem, miotany wicherem toczącym się wzdłuż urwiska. Objął wzrokiem szczyt, który majaczył mu się tak często w paryskim mieszkaniu, w kawiarniach Montparnasse, gdy walał się po bulwarach czy ogrodach Luksemburga.

Sterczał potężny, owiany czystym śniegiem. Nie było na dole ciemniejących plam ani brunatnej ścieżki, która by rozciągała białosną. Dziewiczy śnieg — gdziekolwiek spojrzeć. Podpierając się czekaniem, Francis wpatrywał się w skalną ścianę i biel śnieżystą gór. Była pusta, nietknięta ludzką stopą. Zsunął z ramion plecak, wydobyl raki, przytwierdził je do butów i rozpoczął wyrąbywać sobie drogę w zmarzłym śniegu. Kiedy dobrnął do platformy szczytowej słońce rozświetliło pierzaste skłębienie chmur, urwiska, zleby i szczeliny masywu Szwarzkogel oblał karmazynowy blask, a lodowy wierzchołek Drindelhornu zapalił się ogniem. Francis czuł, że promieniowało nie tylko światło, że nie tylko wschód roziskrzył skały i śniegi, że się dokonywało coś więcej, że uczestniczył w jakimś tajemnym obrzędzie.

Karmazynowe lśnienie na tym szczycie było refleksem jaśności ze źródła oddalonego o miliony mil i spośród milionów ludzi właśnie ciebie, Francis a Sable, zastało w tej chwili niepowtarzalnej w tym miejscu szczególnym. Mógłbyś zużyć cały swój wypracowany zasób przymiotników, a jeszcze nie oddałbyś natężenia i przepychu tej chwili. Czułeś to — wspaniała jasność przenika całą duszę, twoją duszę. Przemieniłeś się i ty, i góry. Urwiska i szczyty twojego serca wypełnił brzask. Zrozumiałeś, żeś nawiedzony przedświtem. Dlatego ugięły ci się kolana i korzyłeś się przed Bogiem, któremu nie dowierzałeś...

Posuwał się dalej przez skamieniałą ścianę na skraju przepaści. Jak dym wznosiły się obłoki, a kiedy spływały w nieustannym ruchu, o tysiącach stóp niżej widoczna się stała przepaść.

Chcąc ciebie zerwać z lodowego konia wicheru mocowała się z tobą, ale siłą woli, mocą rąk, stóp i kolan — wytrwałeś. Utrzymała cię twoja wola i miłość, i jakoś wyostałeś się na skalny uskok u stóp Szwarzkogelu, odpocząłeś w śnieżnej kolebie przez parę chwil, spokojniejszych, odrzuciłeś raki i ruszyłeś naprzód ku skalnej twierdzy.

Popołudnie olśniewało jasnością, kiedy dobrnął do szczytu. Przedarł się ponad chmury, w świat czystego błękitu niebios, olśniewającego białością śniegu i słonecznego obezwładnienia. W szczyście rozłożył swoje rzeczy i zapalił prymus.

Pożywił się, włożył ciemne okulary i posuwał się do stóp wierzchołka. Jak dobrze było iść bez obciążenia... Ogarnęła go lekkość, której nie można tłumaczyć brakiem plecaka.

Zapuszczał się między oblodzone skały, zwisające nad głową na kształt stalagmitów i czuł się w tym białym świecie, jak wśród ilustracji dziecięcej bajki.

Pod gęstniejącymi wełnistymi obłokami leżał świat połonin, stodół, rozrzuconych osad i miasteczek z drewnianymi domkami, świat ulic i tłumów, linii kolejowych i portowych domków, mrowisk ludzkich, świat gazet, depesz i filmu. Auta i taksówki pędzą przez Place de la Concorde na wszystkie strony, autobusy niby przepelnione galery płyną po Picadilly, zatłoczone tarasy kawiarni, magazyny zapchane zbędnymi dobrami, którymi ludzie przelodowują swe życie.

Wszystko to dzieje się niżej chmur, tutaj jesteś odcięty granicą śniegów i lodów, morzem obłoków, ścianą ze skał... i czymś wewnątrz ciebie samego.

...Gdy wrócił do szałas, zapadało słońce na szczyt. Urwiska Szwarzkogelu stały czarne i opuszczone. Przygrzał na prymusie żupę, wyjął kawałek chleba i „Würstchen” przygotował kolację. Ułożył się na przychyty kocami i zagłębił się w „Wyznaniach” najpierw przy umiarkowanym blasku dnia trzymając książkę tuż koło okna, potem przy świecy.

Był urzeczony historią Augustyna, nauczyciela retoryki, wygłaszającego panegiryk na cześć Cezara przed konsulem, „mowę w której miałem po największej części kłamać, a kłamać jednać sobie względy tych, którzy wiedzieli o tym, że to były kłamstwa”.

Takie określenie odpowiadało sardonicznemu usposobieniu Francis a. Tak często jest się sławnym dzięki przemysłowemu, a krotocwilnym łgarstwom u ludzi, którzy wiedzieliby — gdyby choć chwilę chcieli się zastanowić, (czego unikają) — że wszystko to jest jednym wielkim oszustwem.

Jasne, wszystko było grą, wszystkie te cięte uogólnienia, olśniewające paradoksy i największe kłamstwo pogoni za nowością...

Rozczytując się trafił u Augustyna na opis pijanego zebra czynu w zaułku mediolańskim i na uwagę, że „to spokojne zadowolenie biedak osiągnął za pomocą kilku używanych monet” itd. (rozdz. VI. ks. VI...)

W tym miejscu Francis zamknął książkę. Tu już było zbyt wiele analogii. Miał uczucie, że coś się w nim łamie, kruszy, rozpada; czuł wewnętrzne rozdarcie, ostateczne duchowe rozbicie. Posiada się coś, co można nazwać duszą, wszystkie niewidoczne cechy osobliwości; świadomość, rozum uczucie. Wszystkie one związane ze sobą jak ciało, w którym znalazły schronienie. Wiedziałeś, co sądzić o większości spraw; istniały pewniki, nazywałeś siebie racjonalistą. Wymagałeś naukowych wyjaśnień wszystkich zagadnień; metafizyka była wyższą matematyką. Bóg kwestią definicji i biochemii. Szedłeś ku

Prawdzie drogą logiki. Tumażyłeś życie w terminach plazmy; prawdę zamykałeś w cyfrach; piękno w kategoriach zmysłów; to, co mogłeś słyszeć, co oglądałeś, to był attycki mur Afrodyty, oda do Wazy Greckiej i koncert Bacha na dwoje skrzypiec wspaniałość gór; księżycowy blask na wodach, rytm ptaszęcych skrzydeł, prężność dziewiętych piersi.

...Nie trzeba zapytywać siebie, czym jest prawda, czym piękno; istnieją przecież kryteria pewne, oceny niewątpliwe, których się nie podważa. Twój jak i Augustyna umysł zakreślały doczesne wymiary...

...Światłość za chmurami, prawda niedostrzegana, a ty sam nieukoiony. Było jednakże w tobie coś jednolitego; istniała mocna zwarta jedność, co poemowała myśl, uczucie, wiarę; szła z tobą wszędzie, była ci sumieniem, osobowością, wyłącznym „ja”, wyróżniała się swoistym reagowaniem umysłu i serca, istniała najistotniejszym „ty”, „C'est moi”. Podobnie jak Augustyn i ty posiadałeś wybitne zdolności i wykształcenie, i jak Augustynowi nie ci to nie dało: żyłeś niestety, pośród zamętu, wiecznie zagoniony, bez pewności, czego szukasz.

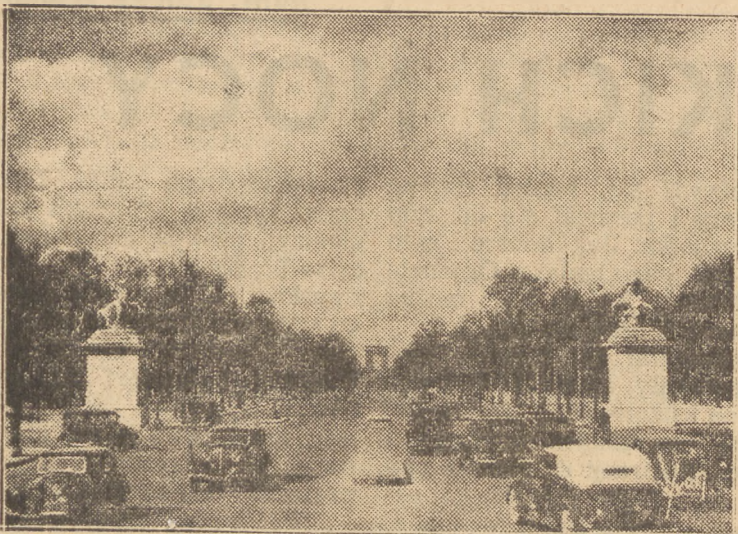
„Szukać trzeba mi wytrwale tego, czego i nie znaleźć można, chociaż leży obok w mego serca bliskiej dali”.

Ileż utrudzenia i ciągłych rozczarowań, a serce puste i duch niewładny. Trzymałeś w objęciu piękne ciało, poznałeś uniesienie, ekstazę zmysłów unicestwioną w chwili spełnienia. Przeżywałeś ekstazę w muzyce i poznawałeś wloty duszy, ale dźwięki skrzypiec odpływały w dal, aż po ciszę, a zostali panowie i panie z dolegliwościami trawienia i finansowymi kłopotami, — ot, schopenhauerowskie figury, nienasyczone, gnane pożądaniem, które pakują swe instrumenty do futerałów. Zostają plamy twarzy w morzu oklasków i znowu pochłonał cię świat materii. Człowiek sam sobie jest wielką głębią, mówił Augustyn, a łatwiej zliczyć włosy na jego głowie, niż uczucia jego i uderzenia serca.

Augustyn miał ambicję, by zostać tak wielkim mówcą, jakim był Skierus z Rzymu... Sam był takim człowiekiem jak Augustyn, kiedy miał dwadzieścia kilka lat. Pyszny, błyskotliwy, ambitny, pewny swego powodzenia szedł za byle powiewem wiatru, ulegał stałym przemianom, choć stęskniony do tego, co wieczne, pełen wiedzy choć brak mu było mądrości, olśniewał, choć sam odwrócony od światła, szukał trwałości w tym, co zmienne... A on sam, Francis Sable, w wieku dwudziestym, nie mniej niż Augustyn w czwartym...

Leżał wpatrując się w niknący dzień. Ukazywały się gwiazdy z początku blade, potem w pełnym przepychu jasności. O nieba. Co za widok! Czyż rzeczywiście gdzieś w nizinach miliony istnień ludzkich przelewają się przez kina i kawiarnie, niemal nieświadome istnienia gwiazd, pozbawione zdolności zachwytu? Istnienie, które nie ogląda cudu nocy, nie pyta się siebie: Dlaczego

(Dokończenie na str. 12)



Pola Elizejskie

Gdy samolot oderwie się od ziemi, gdy znikną w od dali postrzępione i boleśnie znaczone wyrwami kontury drogiej Warszawy, podróży, którego losy skierowały na zachód, dysponuje paroma godzinami spokoju i skupienia. Gdy opadną zeń troski nagromadzone wokół ostatnich gorączkowych przygotowań, gdy przezwycięży w sobie tremę na widok hojnie rozdawanych papierowych torebek z instrukcjami na wypadek „powietrznej choroby” — cóż może czynić w samolocie, lecąc z Warszawy do Paryża?

Można i trzeba skupić się i wewnętrznie przygotować do tego ewenementu, jakim jest przeskok blisko półtora tysiąca kilometrów i niespodziewane postawienie stopy na dalekim i obcym gruncie.

Właśnie to — czy obcym? A może bliskim? Wyznam szczerze — jako dziecko i подростek wprowadziłem, wiele lat spędziłem na zachodzie Europy. Rozłąka z krajem nauczyła mnie wprawdzie cenić i ukochać swoją skroś i inność nadwiślańską, ale niemniej tenże „zachód” pozostał w oczach jeszcze dziecięcych, a już rozumnych symbolem czegoś mi bliskiego i bardzo pociągającego. Świadomie czy nie, różne elementy tego, co się nazywa w języku potocznym „zachodnią kulturą” wzrosły we mnie tak silnie w tych latach przedwojennych, że wydawało mi się kiedyś, iż stanowią one fundament, treść najistotniejszą mojej psychicznej i intelektualnej osobowości.

Od ostatniej bytności na zachodzie minęło lat dwanaście. Jakich lat! Zmusiły one każdego z nas do dokonania radykalnych przeliczeń wielu, zdawałoby się najtrwalszych wartości. „Zachodnia europejskość”

przewartościowała się również, wśród wielu innych pojęć. To co było w niej najcenniejszego, najgłębszego, wywodzący się z istoty kultury łacińskiej prawdziwy humanizm, nabrało w naszych oczach niespotykanych plastycznych perspektyw. Nabrało rumieńców życia. Natomiast rozprysły się tragicznie mity i legendy. Rozwiał się złudzenie potęgi, wszechmocy niemal, jakim tak łatwo otaczało się brytyjską, francuską, czy nawet włoską mocarstwowość. Przekonaliśmy się, ile tragicznych nieporozumień kryło się za snobistycznymi „zachodnio-europejskimi” pozorami przedwojennej polskiej rzeczywistości. Na szlakach partyzanckich wędrówek czy w chwilach najcięższych przejść uczyliśmy się poznawać istotne wartości tkwiące w polskim chłopie, czy robotniku, tak bardzo przecież oddalonym od „ideałów” Zachodu. Ujrzelśmy wreszcie nową, przerażającą odmianę „zachodnio-europejskości”, jaką zdemonstrowali nam Niemcy, a to samo już wystarczyło, by zrujnować kwietyzm, jaki na tym odcinku tak długo obowiązywał.

Pozostał natomiast nietknięty urok intelektualnej kultury, która dała światu tylu czołowych artystów, pisarzy, uczonych, która stworzyła tyle nieprzemijających arcydzieł.

Zdawałem sobie niemniej dobrze sprawę z tego, w czasie tych parugodzinnych rozmyślań, że proste niegdyś zagadnienie wewnętrzznego stosunku do „Zachodu” skomplikowało się bardzo przez lata wojny, a lata powojenne pogłębiły jeszcze bardziej powstałe rysy.

Jeśli nowoczesne środki komunikacji tak znacznie zmniejszyły dystanse fizyczne, to jednocześnie stokrotnie powiększyły

Wojciech Kętrzyński

Światła i cienie

ły się dystanse psychiczne. Warszawa-Paryż, to sześć godzin podróży. Warszawa-Paryż, to przeskok w inny świat.

* * *

Dawniej, gdy podróżowano tylko koleją, pasażer miał możliwość powolnego wchłaniania nagromadzających się wrażeń, przygotowania się do nich, spokojnego ich przeżywania. Dziś nie tylko z trudnością uświadamia sobie pochłonięte odległości, lecz zmiany krajobrazu, klimatu, obyczajów uderzają w niego jak obuchem w głowę. Trudno pokonać początkowe oszołomienie.

A przecież lotnisko w Le Bourget niewiele się różni od warszawskiego Okęcia. Tylko wprawne oko dostrzeże różnice w rozmiarach, w natężeniu ruchu. Powoli ucho zaczyna wylapywać różnojęzyczne krzyżujące się tam i sam akcenty. Jakiś trochę inny, mniej swojski typ twarzy, inne, cieplejsze słońce — ot, to wszystko.

Z jaką natomiast radością i rozczuleniem odkryje się czekający przed dworcem lotniczym — prawdziwy „polski” Chaussou, tyle że trochę inaczej pomalowany. Pierwsza więc refleksja — pierwsza więź wspólna, łącząca dalekie od siebie stolice, sprzęt techniczny,

autobus. Może przeszlibyśmy obok obojętnie, gdyby nie wspomnienie tego dnia, gdy na zniszczonych jeszcze ulicach warszawskich pojawił się pierwszy połyskliwy wóz — obietnica odbudowy zniszczonego życia wielkomiejskiego naszej stolicy.

To pierwsze przelotne spostrzeżenie zaciera się jednak szybko w pamięci pod wpływem narastających coraz to silniej nowych wrażeń. Wgłębia się szybko w olbrzymie, paromilionowe miasto, ciągnące się łącznie z przedmieściami na przestrzeni dziesiątków kilometrów, w miasto wojną niepokonane, tętniące życiem, gwarne rojne, ulicami początkowo spokojnych, trochę sennie prowincjonalnych dalszych przedmieść, następnie chyłkiem przemykamy się przez gwarniejsze dzielnice robocze, włączamy się w coraz to większy potok najróżnorodniejszych pojazdów motorowych, przebijamy się przez zaphane dzielnice handlowe, by niespodziewanie zahaczyć o „Grand Boulevards”, przeskoczyć Sekwanę, z daleka ujrzeć masywne kontury Izby Deputowanych, by wreszcie znaleźć się, z lekkim zawrotem w głowie, na progu centralnego dworca lotniczego, nieopodal Inwalidów. Wzruszenie na widok złocistej kopuły osłaniają-

cej sarkofag Napoleona, oszołomienie tempem wydarzeń ostat nich godzin nie zagłusza jednak zaniepokojenia, jakie wywołały rozmyślenia podróżne. Czy jestem jeszcze „zachodnio-europejczykiem”, czy bezpośredni, osobisty kontakt z tamtą rzeczywistością zrehabilituje lub zniszczy do reszty nadwątlony jej autorytet?

* * *

Są dwie tajemnice uroku Paryża — jedna — to, że każdy w nim może znaleźć akurat to, co mu najbardziej odpowiada — przeżycia artystyczne, snobistyczny tryb życia, mniej czy bardziej kulturalne rozrywki, intensywny ruch umysłowy, ożywiony świat interesów, politykę, pałace problemy społeczne... wszystko. Drugą tajemnicą, trudniejszą do dostrzeżenia jest fakt, że te poszczególne dziedziny paryskiego życia są od siebie ściśle oddzielone, każdy z tych światów żyje własnym odrębnym życiem, i że nie ma nic trudniejszego, jak stworzyć sobie syntetyczny obraz całości.

Dla turysty, dla obco-krajowca, który, tak jak ja, niespodziewanie wylądował w samym centrum miasta — przeznaczony jest właściwie Paryż snobistyczny, ze swymi wielkimi luksusowymi hotelami, gwarowymi kawiarniami, nocą

„Biblioteka Meandra”, która zajęła już poważną pozycję w naszym życiu kulturalnym, wydała niedawno swój jubileuszowy, dziesiąty tom*). Zawiera on cykl sześciu wykładów o kulturze greckiej epoki Peryklesa, opracowanych przez grupę sześciu uczonych. We wstępie do książki wydawcy przypominają słowa, którymi w grudniu 1945 roku przedstawił czytelnikom pierwszy zeszyt swojego miesięcznika „Meander” „Ogrom zniszczeń — czytamy — w kulturze narodowej nakłada na naukę polską obowiązek oddania swych sił również dla popularyzacji wiedzy. Jednym z najważniejszych działań humanistyki jest wiedza o kulturze świata starożytnego, która do dziś stanowi podstawę cywilizacji współczesnej”.

Książkę otwiera fotografia wspólnego popiersia Peryklesa, dłuta Kresilasa, ale, jak czytamy we wstępie, — „nie o historię jednostki tu chodzi, ale o epokę, która ją wydała. Chodzi o epokę „klasyczną” dla twórczości greckiej, której styl i wytwory stały się dla naszej cywilizacji synonimem pojęcia „klasyczności”.

Na początku czytamy syntetyczny szkic K. Kumanieckiego („Ateny w dobie Peryklesa”), który stwarza ramy dla dalszych wykładów, omawiających poszczególne zagadnienia. Tak więc F. Sokołowski omawia stosunki polityczne w peryklesowych Atenach („Perykles przywódca demokracji ateńskiej”), K. Michałowski charakteryzuje „Sztukę klasyczną w dobie Peryklesa”, A. Krokiewicz ukazuje nam dzieje sofistyki („Protagoras i Gorgiasz”), L. Winniczuk prowadzi nas do teatru ateńskiego

*) K. Kumaniecki; F. Sokołowski; K. Michałowski; A. Krokiewicz; L. Winniczuk; S. Lorentz: Epoka Peryklesa (6 wykładów), str. 132, ilustr. 40. Biblioteka Meandra. P.Z.W.S.

Zygmunt Kubiak

KSIĄŻKA O EPO

(„W teatrze ateńskim — dramat epoki Peryklesa”); uzupełnieniem tematu książki jest zamykający ją szkic S. Lorentza o „Polskich badaniach archeologicznych w okresie wczesnego klasycyzmu”, stanowiący przyczynek do dziejów wpływu sztuki greckiej na sztukę polską.

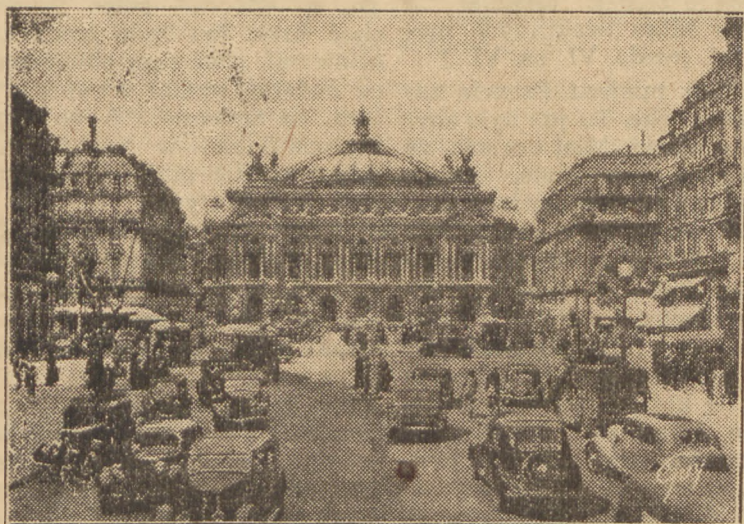
We wstępie czytaliśmy, że „artykuły te, chociaż pisane językiem przystępnym, przynoszą także z punktu widzenia naukowego niejedną rys nową”. I rzeczywiście, autorzy połączyli prawdziwie naukowe, zupełnie wolny od popularyzatorskiego banału, charakter swych szkiców z prawdziwą przystępnością i jasnością wykładu.

Kultura starożytnej Grecji stanowi ciągle żywe dobro wszystkich narodów Europy; ta jej niezmienna żywotność i aktualność przejawia się między innymi w tym, że każda prawi epoka inaczej patrzy na tradycję klasyczną, inaczej ją ocenia i w innych ujmuje kategoriach. Był czas, gdy patrzano na nią jako na ab solutny ideał, gdy chciano ją wprowadzić do jakiejś jednej, monolitycznej idei. Taki pogląd mamy już dziś daleko poza sobą. Dziś rozumiemy, że świat antyczny nie jest „jednoduchem”, ale — „wieloduchem”. Pozwala to nam spojrzeć na niego, jako na rodzica wszystkich nie małych prądów, płynących obecnie przez nasze życie. Ale gdybyśmy poprzestali tylko na stwierdzeniu tej różnorodności, staliibyśmy się jednostronni. Bo jak w takim razie wytłumaczyć to, że mimo wszystkich swoich wewnętrznych sprzeczności nasza kultura oparta na antyku, tworzy przecież jakąś jedność, ma wspólną barwę i wspólne piękno, do którego wszyscy się przyznajemy i któ-

re w pewnych chwilach potrafi nas głęboko jednoczyć? Musi być jakiś jeden ogólny ton, jakaś nie przebiegająca przez całą tę wielką różnorodność różnorodności filozofii i stylów. Chodzi o to, by ją wychwycić i by ją sobie głęboko uświadomić.

K. Kumaniecki na początku swego wykładu zadaje sobie pytanie, jak trzeba scharakteryzować ogólnie kulturę ateńską epoki Peryklesa. Widzimy tam działalność dwu generacji: starszej, której wyrazicielami są: Sofokles, Herodot i Fidiasz, — i młodszej, którą reprezentują przede wszystkim: Eurypides, Protagoras, Gorgiasz. I chociaż zasadniczy ton epoki Peryklesa nadała generacja starsza, będąca wyrazicielką helleńskich tradycji religijnej, to jednak już wtedy — głównie w ruchu sofistów i w dramacie Eurypidesa — do chodzą do głosu nowe prądy, przeciwstawiające się tej tradycji w mniejszym lub większym stopniu.

Widzimy, jak pod wpływem zwycięstwa Greków nad perskim najazdem potężnie w Atenach wiara w sprawiedliwość Bożą panującą nad światem. Ta wielka idea religijno - etyczna wyciska piętno na całej epoce; z niej powstaje Partenon, tragedia Sofoklesa i Historia Herodota. Niezmiernie ciekawe jest to, co pisze K. Kumaniecki o wpływie wielkiej idei na kształtowanie się dzieł sztuki greckiej, zwłaszcza dzieła Herodotowego. Przed swym przybyciem do Aten Herodot był po prostu podróżnikiem, zbierającym materiały geograficzne i etnograficzne. Dopiero pod wpływem atmosfery Aten Peryklesowych staje się historykiem i klasykiem. — „Historykem stał się przez to, że pierwszy zgrupował fakty wokół centralnego



Ruch uliczny w Centrum — Plac Opery

Francja A.D. 1949

nad Wielkim Miastem

rozświetlonymi „bulwarami”, plejadą restauracji, barów, dancinów, teatrów, rewii, satyrycznych teatrzyków. Dla najbardziej wtajemniczonych i najmożniejszych tego świata kryją się dyskretnie w eleganckich i zacisznych ulicach przepiękne prywatne pałace, suną się rzedem Polami Elizejskimi najpiękniejsze, bajeczne limuzyny a zgieci wpeł portierzy, kelnerzy czy lokaje skrzętnie usuwają z drogi każdą najmniej szą przeszkodę, spełniają najbłahsze życzenia.

Jeśli się kto w tryby tego gigantycznego mechanizmu luksu su dostanie, to nieuniknienie musi się w nich zatracić. Zobaczyć Paryż tylko w odbiciu najpiękniejszych zwierciadeł, a miejskie odgłosy usłyszy najwyższej przyćmione najpiękniejszymi kotarami i dywanami, mi le harmonizujące z dyskretną muzyką.

Nocą, ten „szczęśliwy” turysta wyrwie się spośród tych uroków, by zmieszać się z „ludem” w jakimś rozbrykanym kabarecie. Może sobie nucić pod nosem z lekka przestarzałą melodię „Ja do Maxima mknę...”, bo luksusowy ten kabaret w roku 1949, tak jak w roku 1899 „przyjmuje wykwi nie i dyskretnie najelegant szych gości Paryża”. Może wreszcie polować w lasku Buloń-

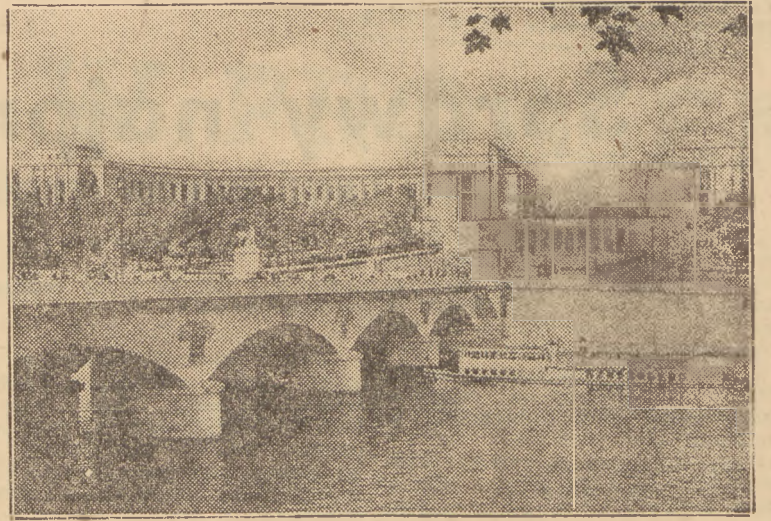
skim na jakąś „szaloną przygodę”, pod warunkiem, by nie wysiadać z samochodu, czego strzeże, wraz z jego cennym bezpieczeństwem czujna, dyskretna i niezwykle liczna policja...

W dzielnicy „łacińskiej”, czyli uniwersyteckiej na centralnym Boulevard Saint-Michel o popularnym skrócie Bul-Misz przewala się od rana do późnej nocy różnokolorowy tłum studencki. Uderza ich różnorodność. Chyłkiem przemknie między jednym a drugim wykładem na całym świecie jednakowy, trochę blade, szaro i kuso ubrany, z dziwnie związanym na kształt postronka krawatem — pauper. Środkiem chodnika, a nieraz i jezni sunie rozbawione towarzystwo mieszane, najdziwniej ubrane, na swój, najbardziej ekscentryczny sposób eleganckie. Nie wiadomo tylko, czy o godzinie dwunastej w południe wracają dopiero z jakiejś zabójczej hulanki, czy też dopiero wyrwawszy się ze snu suną pośpiesznie do Duponta na kawę z mlekiem i bajeczne rogaliki? W tejże samej kawiarni, nad którą widnieje napis „Chez Dupont tout est bon” (U Duponta — wszystko dobre), przy stolikach siedzą młodzi obu płci i wszelkich

nacyj, nerwowo czochrając roz kudłaczone przeważnie włosy, mnąc w rękach jakieś zatłuszczone notatki i powtarzając z rozpaczą na pięć minut przed jakimś decydującym egzaminem wieczną, banalną skargę: „Rany Julek — ja nic nie umiem, słuchaj, wytłumacz mi to raz jeszcze, ale szybko, raz dwa...”

Łudzy, wytworni i obojętni murzyni siedzą na uboczu, zamieniając ze sobą krótkie, gardłowe okrzyki. Wismukie, królewsko godne Anamitki suną w jedwabnych, powłóczystych strojach, otoczone rojem może mniej królewskich, lecz bardzo sympatycznych współrodaków.

Ilość kolorowych gości w Paryżu uderza każdego obserwatora. Niewątpliwie to miasto przyciąga dziś liczne rzesze i z innych kontynentów, gwarantując im, jeśli nie zawsze pełne równouprawnienie, to w każdym razie ze strony paryskiego tłumu życzliwą obojętność dla ich odmienności i poszanowanie godności ludzkiej, co tkwi w istocie francuskiej psychiki. Trudno jednak pod tymi pozorami nie dostrzec głuchego konfliktu między tą różnokolorową egzotyczną masą — a oficjalną polityką kolonialną, której symbolem proces posłów Madagas-



Pałac Trocadero — fragment nowoczesnego Paryża

karu czy wojna w Viet-Namie. Trudno nie zastanowić się chwilę nad tym, czy pod pozorami układności nie kryje się wśród gości myśl o przyszłych odwetach, do których się przygotowują czerpiąc wiedzę w murach Sorbony.

Tylko daleko, poza obrębem właściwej dzielnicy łacińskiej kryją się rozsiane po Paryżu „studenckie wspólnoty”. Niegdyś podejrzanej klasy hoteliki, dziś domy studenckie — goszczą w swych mizernych pokojkach różnolity tłum tej najprawdziwszej studenckiej, której rodziców nie stać na fundowanie swym dzieciom paroletniego okresu zabaw pod pozorem nauki. Tam żyją obok siebie wszystkie narody, wszystkie wyznania, wszystkie kierunki polityczne i tam, przy wspólnej biedzie i wspólnym gospodarstwie otwierają się sze roko serca i płyną wartką falą myśli, pomysły, plany i marzenia, których nie można wyczytać na twarzach przechodniów Bul-Miszu.

Codzienna gazeta paryska do nosi: „Na ulicy Christine pod numerem 3 wznosi się obszerny czteropiętrowy gmach, który był niegdyś zajmowany przez wielkie przedsiębiorstwo transportowe, który jednak od sześciu miesięcy stoi całkowicie próżny.

W sobotę wieczór około pięćdziesięciu studentów Akademii Sztuk Pięknych powzięło zamiar przejęcia tych lokali. Napotkali jednak opór dwustu policjantów, sprowadzonych natychmiast na miejsce samochodami Prefektury.

Ośmiu spośród tych „squatterów”, którym udało się znaleźć... na dachu, zostało odprawionych do komisariatu policji na Saint - Germain des-Près. Między nimi znajduje się p. Mikołaj le Grand Massier, ojciec rodziny, który dopiero co został pozbawiony mieszkania...

Po krótkim przesłuchaniu wszystkich ośmiu przekazano do tymczasowego aresztu...”

Metro paryskie kursuje bajecznie. Co parę minut z czełści tunelów wyskakują waży wagonów, które w błyskawicznym tempie rozwożą pasażerów na wszystkie krańce miasta. Cóż za niesamowita praca ludzka została włożona w to dzieło przebiecia pod ulicami Paryża kilkudziesięciu podziemnych kanałów, wybudowania paruset stacji, skomplikowanych systemów wentylacyjnych, urządzeń odwadniających! Toż to całe olbrzymie podziemne miasto,

Cztery razy dziennie metro paryskie zapełnia się szczerlnie, do ostatniego miejsca tłumem ludzkim jadącym z domu do miejsca pracy, z miejsca pracy do domu na obiad, z powrotem do pracy i wreszcie wieczorem raz jeszcze do domu. Jako Polak podziwiam cierpliwość Francuzów, którzy chcą się tyle razy przepychać przez bądź co bądź duszne korytarze, gnieść się w przepełnionych o tych porach wagonach — dla zasady, że obiad należy jeść w domu. Nie spotkałem jeszcze ani jednego przeciwnego Francuza, który by sobie ten system chwalił. Nie spotkałem jednak także żadnego, który by się przeciw niemu zdecydowanie wypowiedział. Obiad, jak wiadomo, jada się w domu.

Poza tymi godzinami — w metrze paryskim jest luźno, można siedzieć swobodnie bez konieczności zasłaniania twarzy gazetą, by nie widzieć starszych pań oczekujących na ustąpienie im miejsca. W zasadzie jednak Francuzi są grzeczni, wzajemnie życzliwi.

Nie mieć własnego samochodu w Paryżu niewątpliwie stanowi dużą niewygodę. Dystanse są wielkie, autobusy często przepełnione, metro męczące i pozbawione wszelkich wrażeń optycznych. Poza tym, jak mawiał mój przyjaciel René — bez samochodu właściwie nie jest się mężczyzną...

Niemniej dobrze jest spędzić codziennie trochę czasu w tymże metrze. Daje ono bowiem najprawdziwszy przekrój warstw i obyczajów paryskich. Razem, na przestrzeni kilkudziesięciu metrów kwadratowych skoncentrowane są wszystkie najbardziej charakterystyczne typy paryskie. Jednym wagonem jedzie długi, czerwony na twarzy, a rudy na głowie Anglik, paru lewantyńczyków w czerwonych fezach, omawiających kłótniwie jakieś łardzo komplikowane interesy. Robociarz w kombinezonie z „Humanité” w kieszeni i graby ku piec w nieodłącznym beracie na czubku głowy, demonstracyjnie czytający „Figaro”. Parę godnych matek skrzętnie dźbiących na drutach, by czasu nie tracić, i nieokreślona ilość małych, bystrych dzieciaków o dźwięcznych podwójnych imionach Pierre - Henri, Marie - Claire, Claude - Anne, Jean - Paul. Gdzieś w kacie jakaś bardzo młoda i bardzo zakochana para, której ani krzyk dzieci, ani nawet gadatliwa sąsiadka nie może przeszkadzać.

Na stacjach rzęsiście oświetlonych, na nieokreślonych się korytarzach rozlepione są olbrzymie

(Dokończenie na str. 12)

CE PERYKLESA

zagadnienia, klasykiem niemal dzięki temu samemu faktowi”.

Tu dochodzimy do źródeł pojęcia „klasyczności”, które przewija się przez całą książkę. Klasyczność jest właśnie tą formą artystyczną, w którą wcieliły się uczucia i poglądy ludzi Aten Peryklesowych. — „O jakie walory tu chodzi?” — pyta K. Michałowski. I tak odpowiada charakterystycznie istotę klasyzności: — „O pewne kategorie estetyczne, które określamy mianem harmonii, symetrii i rytmu i które tak ściśle muszą być ze sobą powiązane, że wywołują w nas wrażenia: ładu, równo wagi, spokoju, powagi i wzniosłości duchowej”. Zwięźle określa istotę klasyzności K. Kumaniecki: „Każdy element musi być tutaj podporządkowany całości, wszystko, co zbędne musi być usunięte, jeśli ma zostać osiągnięty ideał kompozycyjny... Klasyzność jest owocem ustawicznej i świadomej woli artystycznej i walki z materiałem”. Świadoma wola artystyczna, to znaczy — wola kierowana przez rozum, przez to światło rozumu, które czei Sofokles w epilogu „Antygony”. Tak więc klasyzność sztuki Aten Peryklesowych jest owocem wspaniałego racjonalizmu kultury helleńskiej.

Styl klasyczny przejawiał się najpełniej w sztuce plastycznej i w dramacie. Szkic K. Michałowskiego ukazuje nam powolne kształtowanie się form greckiej rzeźby i malarstwa, począwszy od zamierzchłej epoki przedhomerowej, poprzez Partenon, jako szczytowe osiągnięcie greckiej sztuki klasycznej, aż do rzeźby IV wieku. Jest doprawdy pasjonującym zajęciem śledzenie tej linii rozwoju: zaczynamy rozumieć, że niezwykła lekkość i naturalność, harmonia i

swoboda sztuki osiągana jest przez wyteżoną, nieustanną pracę, trwającą całe wieki.

Lidia Winniczuk, oprowadza nas po teatrze ateńskim, maluje tło i na strój, w jakim odbywały się spektakle. Ale słyszymy, że nawet najdokładniejsze skopiowanie teatru ateńskiego nie mogłoby nam dać dostatecznego pojęcia o tym, czym on był dla ludzi tamtych czasów. Nie jeden raz słyszymy od filologów takie zapewnienia. Ale — pociesza nas autorka — „choćby dzielił nas tyle wieków od owej epoki, chociaż tyle zagadek i tajemnic kryje w sobie ta poezja, chociaż tyle zmian zaszło, to jednak ludzie zawsze są tacy sami, z tymi samymi namiętnościami, z miłością i nienawiścią, z klęskami i zwycięstwami, z wzniosłymi ideami i niskimi dążeniami i dlatego nawet ci z odległych czasów są nam bliscy, a tym bardziej ci, którzy jak starożytni Grecy umieli filokalein: kochać piękno i radować się pięknem”.

Klasyzność sztuki greckiej była zjawiskiem nie tylko estetycznym, ale również moralnym. — „Samo dążenie do harmonijnej kompozycji elementów artystycznych nie wyczerpuje istoty klasyzności Peryklesowej. Nie mniej ważnym jej elementem jest jej idealizujący, normatywny charakter” (K. Kumaniecki). Ta idealizująca normatywność jest również przejawem racjonalizmu kultury greckiej, jest wyrazem dążenia woli, kierowanej rozumem do wprowadzenia ładu we wszystkich dziedzinach życia, — ładu w myśli i w czynie. I zdaje się, że taki racjonalizm jest jednym z najcenniejszych elementów tradycji klasycznej, jest może nawet zasadniczą spójnią

kultury europejskiej w jej najistotniejszym nurcie.

Sledząc dzieje myśli greckiej z tego punktu widzenia dostrzegamy, że mimo wszystko między owymi dwiema generacjami epoki Peryklesa, istnieje silny i istotny związek ideowy i że — w zasadniczych swych liniach — nie stoją one nigdy do siebie w prostym przeciwieństwie. Wyrazem duchowym tej drugiej generacji jest przede wszystkim rozwój sofistyki. Wykład A. Krokiewicza podejmuje szeroko zakrojoną rehabilitację tzw. wielkiej sofistyki greckiej (Protagoras, Gorgiasz). Autor ustawia ją na tle perspektywy historycznej, tłumaczy jej genezę i rolę dziejową. Stara się wykazać in telektualne i moralno - humanistyczne wartości filozofii Protagorasa i artystyczne zdobycze retoryki Gorgiasza. Możemy obejrzeć te tak ważne dla naszej kultury zagadnienia w oświetleniu uczonego, który pochyła się pieczołowicie nad każdym zdaniem greckim, aby wydobyć jego istotną, niesfałszowaną treść. Szczególnie ciekawa jest analiza Protagorasa i socjologii w społeczeństwie i państwie: dla wielkiego sofisty dwie są zasadnicze podstawy zdrowego życia społecznego — poczucie sprawiedliwości oraz to, co określa trudny do przetłumaczenia grecki wyraz „ajdos” (sumienie, wstyd moralny, szacunek dla własnej i cudzej osobowości).

Autor włącza do ruchu sofistycznego również Sokratesa, ukazując nam tego wielkiego Ateńczyka jako człowieka, który we właściwy sposób skorzystał ze zdobyczy sofistyki, odrzucając jej błędy i zwyrodniałe wypaczenia. Sokrates, wspaniały przedstawiciel greckiego racjonalizmu, był — jak pisze A. Krokiewicz — „artystą w dziedzinie psychicznego piękna”.

Z myślą o tym klasycznym pięknie zamykamy niewielką, ale jakże bogatą w treść książkę.

Zygmunt Kubiak

Z. Leszczyński

Sprawy najprostsze

(Na marginesie krajowej konferencji usprawnień i wynalazczości)

Tempo budowy domów wzrasta, murarze przechodzą na system trójkowy. Narodziła się Trasa W — Z, stanął most Śląsko — Dąbrowski w rekordowym tempie. Odbyła się krajowa konferencja usprawnień.

Racjonalizacja pracy jest tematem dnia. Trwają narady nad osiągnięciem maksymalnej oszczędności w produkcji.

Postawmy problem: tysiące Warszawiaków załatwia codziennie różnorakie sprawy, biega po urzędach, reklamuje — traci czas i pieniądze, traci nerwy i zdrowie. Wraz z nim dzień, w dzień robią to miliony mieszkańców Polski. Organizujemy pracę — ale czy organizujemy życie?

Zagadnieniem są tu sprawy codzienne, zdawało by się najprostsze i nieskomplikowane, sprawy, o które ocieramy się na każdym kroku.

**

Dla zobrazowania — analiza wybranego spośród innych — konkretnego przykładu: Chciałem zaprenumerować gazetę, która w nagłówku podaje: „Prenumerata miesięczna pocztą kosztuje 135 zł”. Pieniądże posłałem pocztą — Cisza. Na zapytanie telefoniczne otrzymałem odpowiedź że pismo nie może być wysłane, bo koszt prenumeraty w Warszawie wynosi 300 zł. Zrezygnowałem i prosiłem o zwrot pieniędzy ale wówczas zaproponowano mi, że bym zgłosił się osobiście (ponieważ muszę pokwitować odbiór). Zaprotestowałem, prosząc o przesłanie ich pocztą — doszły w porządku.

Historia, jakich wiele, i zakończona szczęśliwie. Ale:

1) Pismo podaje niedokładną informację (brak zaznaczenia że podane warunki prenumeraty dotyczą prowincji). W konsekwencji niepotrzebne listy, telefony itp.

2) Absurd pocztowy. Właściwa prenumerata kosztuje 120 zł miesięcznie, przesyłka na prowincję 15 zł. W Warszawie przesyłka poczynego kosztuje 6 zł. Mieszkając w Warszawie muszę płacić za warszawską gazetę przeszło dwukrotnie więcej (222%), niż abonent gdzieś w odległym o 300 km Pikułkowie, — ba! drożej niż czytelnik zagraniczny (jak mi powiedziano prenumerata pisma wraz z wysyłką za granicę wynosi miesięcznie 225 zł). Wydawałoby się, że koszt try kształtują się w tym wypadku wręcz odwrotnie.

(Niezrozumiałe jest dla mnie dlaczego — zwłaszcza, gdy brak jest telefonów, i list jest właśnie tym środkiem, który ułatwia porozumienie — opłata nie tylko za druki, ale również za całą korespondencję miejską nie jest niższą).

3) Propozycja przyjęcia celem załatwienia błażej sprawy, którą można załatwić pocztą, jest dowodem — rozpowszechnionego nie-

ty — braku poszanowania czyjś czasu.

Materiał jak na jedno codzienne wydarzenie obfity.

**

Istnieją fakty i zjawiska w naszym życiu codziennym, dobrze wszystkim znane. Znane tak dobrze, że przyjmowane są jako normalne, niemal aprobowane jako system, styl życia. Sposób załatwiania spraw w urzędach czy niepunktualność spotkań stały się już przysłowiowe. Ale godzimy się z ich istnieniem. Wytworzyły się już nawet swoiste zwyczaje — do niepisanych przepisów towarzyskich na leży półgodzinne spóźnienie się na wizytę. Więcej nawet — nie wyobrażamy sobie nieraz możliwości innego zorganizowania świata. Gdy zdarzyło się, że jeden z urzędów wezwał petenta na ściśle określona godzinę i załatwił go sprawnie w oznaczonym czasie, było to objawieniem, a fakt ten trafił aż na łamy prasy. I to właśnie — owo wejście czegoś w zwyczaj, uznanie jakiegoś zjawiska za normalne, niezmiennie i mające prawo istnienia jest istotnym niebezpieczeństwem.

A jeśli dochodzi już do reakcji wielokrotnie ma ona dziwne cechy. Narzekamy na tłok w tramwaju nie mogąc się dostać do środka — ale będąc już w wagonie i korkując wejście nie posuwamy się naprzód. Tworzy się postawa jakiejś quasi aktywności i egoizmu, postawa jednostronnych wymagań i fałszywie pojętego indywidualizmu.

**

Zagadnieniem organizacji życia nie dotarło jeszcze całkowicie do naszej świadomości. Usprawniamy produkcję — stanowi to jednak tylko część zasadniczego problemu. Nasze codzienne sprawy są tu kopicuszkami, czasem po prostu wydają się zbyt niepoważne i błahe. Nie zdajemy sobie sprawy z ich wagi. Tymczasem problem np. organizacji gospodarstwa domowego, mówiąc do sadnie kwestia właściwego umieszczenia garnków na półkach i ułatwienie w ich myciu, jest problemem — nie przesadzając — o olbrzymiej doniosłości, którego rozwiązanie mogłoby oszczędzić gospodyniom wiele wysiłku i setki tysięcy godzin. Jest on tym poważniejszy, że wielu z nich pracującym rano zajęcia domowe zabierają cały wolny czas i możliwości odpoczynku.

Nie spostrzegamy wielkości zagadnienia, zwłaszcza tam, gdzie fakty nie rzucają się w oczy i są one trudniej uchwytnie, gdy mamy do czynienia z elementami wtórnymi. Tematem dnia jest oszczędność. Zastanówmy się dla przykładu przez chwilę nad sprawą oszczędności wtórnej, takiej, która nie przynosi wyników natychmiastowych przynosi je pośrednio, w konsekwencji

jej zastosowania. Spóźnienie się jednej osoby to strata czasu jej partnerów, to niejednokrotnie obalenie ich rozkładu dnia i z kolei zamieszanie również w rozkładzie dnia tych, z którymi oni mają się spotkać. Tworzy się łańcuch rosnący zatrważająco szybko, w którym istotnym czynnikiem jest już nie strata tej pierwszej osoby, ale suma owych wtórnych strat — na nie przeważał się ciężar zagadnienia. Konsekwencje przerosły bodziec. Punktualność pierwszego ognia przynosi większą oszczędność niż to pozornie wydawać by się mogło.

Z drugiej strony spotykamy się nieraz z fałszywym pojęciem usprawnienia. Niewłaściwie pojęta ślepa oszczędność prowadzi do wręcz odwrotnych wyników. Powstrzymanie się od wydatku na eksperta przy przyjęciu wymagającego produktu, to źródło reklamacji i powodzi korespondencji, dodatkowej pracy, zamrożenia kapitału obrotowego uwięzionego w zakwestionowanym towarze. Tu obcięcie kosztów pozornie nieproduktywnych, stwarza poważne, wielokrotnie większe straty we koszty.

I wreszcie — żeby wspomnieć o już najbardziej nieskomplikowanej i zdawało by się oczywistej stronie zagadnienia: ileż spośród różnorodnych błędów powstaje spowodowanych — po prostu — brakiem rzetelnego przemyślenia, brakiem uczciwego opracowania i nieraz prostego rozsądku. Wystarczy rozdać numerki, by nie zmuszać do straty czasu w ogonku. Do historii już przeszła sprawa biletów tramwajowych w Warszawie, sprawiających tysiączne kłopoty pasażerom i konduktorom, nieporęcznych i kilkakrotnie zmienianych. Wciąż jeszcze ulice Warszawy są ustawicznie roz- i zakopywane, roboty na nich nie uzgadniane wzajemnie a przelotność ulic ograniczona. Podstawowym zdawało by się warunkiem winno być ustalenie logicznego harmonogramu czy dokładne przeanalizowanie projektu biletu. Drobiazg? — Ale nieporęcznie umieszczona cyferka na bilecie, którą trzeba przeciąć, wymagająca każdorazowo (— tylko —) dwóch dodatkowych sekund, to przy 100.000 pasażerów już przeszło 50 godzin — i tak już nielatwej — pracy konduktora. Takie drobnostki urastają w konsekwencji do istotnych problemów.

**

Ale uporządkowanie takich „materialnie” wymiernych elementów nie jest wyczerpaniem zagadnienia — jest tylko środkiem prowadzącym do dalszego etapu, do organizacji życia psychicznego.

I tu trzeba podkreślić — obok zagadnienia racjonalizacji wysiłku — podstawowe o olbrzymim znaczeniu zagadnienie „racjonalizacji” zdrowia, ściślej mówiąc problem zdrowia psychicznego, problem nerwów. Zmęczenie psychiczne jest czynnikiem trudno uchwytnym, ale wpływ jego daje się odczuwać bardzo silnie.

Jednym z pierwszych kroków jest tu organizacja pracy. Zlikwidowanie ogonka, usprawnienie sprzedaży oszczędza nie tylko czas, oszczędza również zdrowie obydwu stron biorących w niej udział. Ale ma tu również wpływ szereg czynników innych. Powróćmy do wspomnianego na początku obrazka z tramwaju. Odruchowa ocena będzie brzmiała: brak uprzejmości — brak szacunku dla strony przeciwnej. Narzekamy na biurokracyzm, na kult papierka, formalizm, brak elastyczności. U jego źródeł gra poważną rolę brak decyzji i obawa odpowiedzialności — inaczej mówiąc brak zaufania do innych, brak zaufania do siebie samego, we własne siły. (Tu ma swój początek skłonność do przesady w korzystaniu z prac komitetów i konferencji — jako do tej formy, która pozwala na zbiorową, a więc praktycznie nieuchwytną odpowiedzialność).

Tak jak w innym wypadku punktualność, tak i tu uprzejmość czy umiejętność decyzji są jednymi z elementów organizacji życia, elementami zasadniczymi, których obecność gra decydującą rolę.

Na istotne rozwiązanie tego zagadnienia wpływ ma już nie doraźne usprawnienie — u podstaw leży problem wychowania, problem kształcenia charakteru.

Anna Pogonowska

WIERSZE

W mgłę

Móc patrzeć na mgłę w wierzchołkach lasu
Materię chłodną, nikłą, oddychającą prawie niewidocznie —

Złote lustro księżycy kusi aby stworzyć
Kształt szukający odbicia.

Zbyt dużo lez zeszytniało w biel lekką
Nie giętką zjawą się przejrzyć
Obrotną tarczę horyzontu
Znosząc — przykleknąć.

Czas wiosenny

Ostrza i puchy zieleni
Spojrzenia nowonarodzonych kwiatów
W wysokich olchach deszcz
Kaluża topaz
Egipskie żabki z malachitu
Niebo jak złote runo baranka
Noc: dymiące główne róż.

Ton

Świergot w promień uderzył —
Gałązka tonów podniosła.
Mały ptak niepokoju podfrunął
Nad wróble krzyżące: „Wiosna”

Kaluża ożaglona
Obłokiem w niebo odbiega —
A ja na wietrze jak głaz
Gryzący kroplę po śniegach.

Ciężar

Nagle Ciebie zobaczyłam Mamo
Stałaś cichutko —
Dłonie miałaś spuszczone, usta złożone
Znużeniem smutku.

Moje male dzieciątko, którego tak pragnę
czułam przy sercu —
W lustrach dalekich — sny —
I męża mojego i bliskich ścisłałam za ręce.

Ach. Lekkie są drzewa różowe.
Jak wiatr niebieskie drzą cienie —
Brzemieniem
Cięży ludziom Bóg

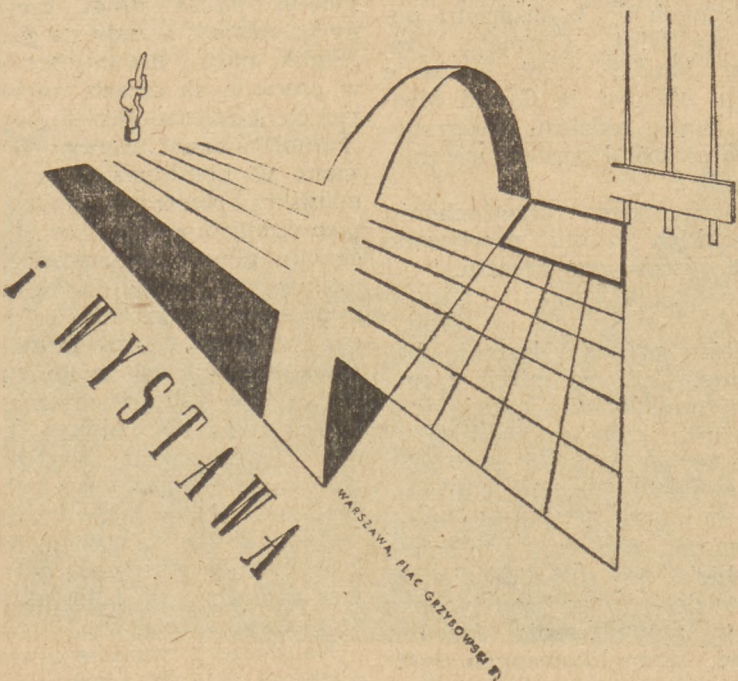
Duszo z powietrza, z glazu i z ognia
Wczepiona w ciało jak kłosecz
Rdzewieje tarcza blasku. Od dna
Lęk.

Na Tobie się opieram
Jak ślepiec na białej lasce.
Stukam kijkiem, badam drogę
Anieli nade mną zapłaczcie.

Wyzuta —
Jak ptak nad ziemią i chmurą
Wiatr odarł wszystkie pióra
Czym jestem?

Napełnij moje ciało
Miłością, nadzieją, wiarą,
Mieczem litości
Uzbrój serce.

WNETRZE



Eugeniusz Paukšta

„Ziemia za warszawską miedzą“ (I)

WPROWADZENIE W PROBLEM

„Trudno pojąć, dlaczego ten kraj, dziś jeszcze w większej połowie polski, pozostał przez nas zaniedbany? Dlaczego w czasach siły i sławy naszej skazany był na przyjęcie Niemców za swych panów? Dlaczego dziś nikt nie wie, nie ubolewa nad nim, chociaż jest on tak blisko od Warszawy: nie więcej jak mil 15? — tak pisał w swojej „Podróży do Prus“ przed stu z górą laty August Maksymilian Grabowski. Jeżeli rozpoczynam przypomnienie tych znamienitych zdań, to nie z myślą, by sięgać znów w przeszłość i z miną ponurą rozpałkiwać grzechy polityczne ojców i dziadów naszych. Dość się już na ten temat najęczało i napłakało w latach ostatnich. Jak to u nas w modzie, może i nad miarę, w każdym razie jednostronnie. Bo o ile się przejrzy publicystykę, dotyczącą spraw ziem północnych, więcej tam niepomiernie napotkamy biadolenia o tym, jak było, a jak być powinno, niż uważnego, trzeźwego spojrzenia na sprawy tej ziemi dzisiaj, gdy pewne procesy historyczne stały się nieodwołalne, i dyskusja musi odpowiadać przede wszystkim na pytanie — jak ma być i jak będzie.

Bo wydaje mi się, a słowa te są wynikiem nieustannej obserwacji od momentu, gdy repatriantom transportem przekroczyliśmy polską granicę w okolicach Giżycka, że słowa Grabowskiego, z wyjątkiem zdania dotyczącego Niemców, są nadal aż nazbyt aktualne. Warmia i Mazury to przecie dla większości społeczeństwa nadal terra ignota. Nie zmieniają tego faktu, skąd inąd bardzo potrzebne, wycieczki popularne „Orbisu“ nad wodny szlak mazurski, w małej tylko części naprawiają sytuację reportażu Jasienicy, Sulimy czy Koźniewskiego. Kto wie, czym naprawdę są te ziemie, jacy tam ludzie mieszkają, co się tam robi a czego nie robi? Dolny Śląsk, Pomorze Zachodnie, nie mówiąc o Opolszczyźnie i Ziemi Lubuskiej są w znacznie lepszej sytuacji. Ciągłe znajdują się „na tapecie“. Mazury i Warmia pozostają wciąż jeszcze dziećmiem po macoszemu traktowanym.

„Panok, tak my tu ob niczym nie wiemy, w ta głusza zabiwszy sia. Ni to świata ni ludzi; w lasach i rojstach siedzim i tyle, co na rynku albo na powiece u sołtysa dowiemy sia...“ — z pewną dozą goryczy narzekał mi jeden z repatriantów w okolicach Barcian, gdy w rozmowie na pewien aktualny temat okazało się, że nie ma o nim zielonego pojęcia.

— A gazety? — zapytałem.

— Jest tam jedna, do sołtysa przychodzi, ostatnio poro pokazała się u poniekórych i ta „Gromada“, ale to i mało czytamy i tak też ni ochotno od razu pokapnąć się we wszystkim...

Rozmowa ta nie jest wyjątkiem. Mimo wszelkich bezspornych sukcesów ostatniej akcji rozpowszechniania czytelnictwa na wsi, także i na ziemi warmijsko-mazurskiej, problem wyrwania mieszkańca Mazurów z ciasnych i wąskich opłotków kulturalnych w jakich przebywa, jest nadal problemem otwartym. Dodajmy, że problemem nad wyraz trudnym. Rozwiązanie jego bowiem łączyć się musi z jednoczesnym rozwiązaniem niektórych zagadnień społecznych, gospodarczych i innych.

Przed wszystkim trzeba kraj ten wyrwać z zapomnienia, w jakim się jeszcze niewątpliwie znajduje. Sulima nazwał pięknie Mazury „ziemią odnalezioną przez nas“. Te przeznaczenia trzeba wskazać wyraźnie całemu narodowi, w pierwszym rzędzie mieszkańcom samej tej, zagubionej ziemi.

Mazury nie są zlekceważone przez czynniki odgórne. Na Mazurach niewątpliwie robi się wiele, bardzo wiele. Plan sześćdziesięcioletni nadaje im oznaczony współdziałanie w tworzeniu potężnego potencjału gospodarczych sił narodowych. Prawda, że uintensywnienie gospodarstwa tej połaci kraju rozpoczęło znacznie później niż gdziekolwiek indziej. Ale to ma swoje logiczne uzasadnienie. Gdy nie stać nas było na równoczesny zryw na wszystkich odcinkach, musiała być brana pod uwagę gradacja potrzeb. Problem Ziemi Odzyskanych chociażby, był problemem przede wszystkim właściwego Nadodrza. Na Mazury nikt za granicą nie wskazywał palcem, zarzucając istnienie tam „białych plam na karcie Europy“.

Nie o inwestycje i plany państwa w odniesieniu do byłych Prus mi chodzi. Głównym tematem, jaki chciałbym uwypuklić i mocno, dosadnie tutaj podkreślić, jest fakt **psychicznego** zapomnienia czy zapoznania Warmii i Mazurów w społeczeństwie polskim. Bo właśnie ten fakt, mimo wszelkich okoliczności łagodzących, jest oskarżeniem nazbyt poważnym w stosunku do nas wszystkich, by można było go zlekceważyć.

Poruszenie wywołane książką Wańkowicza, zwrócenie uwagi na problem mazurski wygasło w obliczu wyników ostatniej wojny. Przyłączenie północnego pasa przybałtyckiego do Polski zlikwidowało, zdaniem powszechnym, cały problem. Dziś, jeżeli jakie zainteresowania Mazurami istnieją, to tylko turystyczne - wycieczkowe, a i to w niewspółmiernym stopniu do piękna tych ziem.

Tymczasem poza turystyką istnieją tam całe węzły konfliktów, multum spraw zasadniczych, często nigdzie indziej nie występujących; zagadnienia najbardziej istotne domagają się rozwiązania. Ludzie tamtejsi mają swoje właściwości, psychika ich jest inna, reakcja na zjawiska życia codziennego nabiera niespotykanych w innych stronach odcieni. To są rzeczy dalekie od nas, obce nam, nieznanne.

Zwierzał mi się jeden z nauczycieli, będący reprezentantem czynnika społecznego przy uniwersyteckich komisjach egzaminacyjnych: — Jestem przekonany, że gdybym zechciał zadawać pytania dotyczące aktualnych spraw, najbardziej istotnych, związanych z Mazurami, musiałbym poważnej części kandydatów wystawić opinię niedostateczną. Te sprawy są od nas o tysiące mil odległe...

Czy prawda? Raczej przychyliam się do tej opinii. Czy znane są komu bliżej historie takie, jak choćby owego Józefa Kastarskiego z okolic Mikołajek? Czy orientuje się ktoś bliżej w istocie problemu ewangelickiego na Mazurach? Czy zastanawiał się ten i ów bliżej nad istotą tłumnych pielgrzymek rdzennej ludności Warmii ciągnących na odpust w dniu 15 sierpnia do Świętej Lipki? Czy próbowano analizować treści

wniosek kryjących się w odpowiedzi na pytanie, dlaczego ludność Reszla zmniejszyła się ostatnio w poważnym stopniu, a natomiast w takim np. Piszku, wzrasta nieustannie? Czy ktoś się doszukuje przyczyn, dla których wieczer autorowi w jednej miejscowości ściągają tłumy nie mogące pomieścić się w sali, a w drugiej, tuż opodal tamtej położonej, przy takim samym mniej więcej skądzie ludności, w równie dogodnej porze i równie atrakcyjnym nazwisku prelegenta ledwie parę osób pojawi się tylko „z obowiązku“? Co znaczy, że w małym, niepozornym Giżycku sprzedaje się tyle egzemplarzy „Twórczości“ czy „Problemów“, że zawstydić to może niejedno znacznie większe miasto, w Polsce Centralnej? A że jednocześnie znajduje się opodal miejscowości w sposób skandaliczny zacofane kulturalnie? A to, że gdzieś tam spotykamy nawroty używania języka niemieckiego przez ludność niewątpliwie polskiego pochodzenia, przez ludność częstokroć personalnie zasłużoną w walce o polskość przed rokiem 1939? Czy próbował ktoś analizować i znaleźć sposoby zaradcze na trudności awansu społecznego w zapadłych miasteczkach Mazurów?

Stała obserwacja pewnych procesów jest możliwa i wierna w wysnuwanych wnioskach wtedy tylko, gdy ma się możliwość ciągłego porównywania w bezpośredniej obserwacji obiektu naszych zainteresowań. Co jest ciekawe, ale wytłumaczalne, to to, że ludzie, interesujący się problematyką, dajmy na to mazursko-warmijską, przebywając stale w tym rejonie tracą po pewnym czasie ostrość widzenia, skłonni się stają do generalizowania wszelkich zjawisk, zbyt są pochopni i pobłażliwi w sprecyzowaniach ogólnych. (Twierdzenia tego nie można przyjmować w całej ciągłości; nikt przecie nie zarzuci np. dyr. Małkowi czy E. Sukertowej - Biedrawinie, że uwagi ich nie zachowują stale właściwej precyzji, ostrości widzenia i świeżości). Szczególnie dotyczy się to urzędników administracji, pochodzeniem obcych rejonowi warmijsko-mazurskiemu. Zdarzały mi się już kilkakrotnie wypadki przyznawania się dosyć wysoko postawionych czynników lokalnych do zupełnego przecoczenia pewnych istotnych kwestii. Dopiero obserwacje kogoś postronnego, najmniej zorientowanego dosyć biegło w bolączkach terenu, zwracają uwagę jakiegoś naczelnika wydziału czy starosty, że oprócz znanych mu niedociągnięć istnieją jeszcze inne, nie mniej poważne. Trzeba tu z naciskiem podkreślić olbrzymią zasługę, jaką ośmił Mażurum Stefan Sulima swymi reportażami, drukowanymi uprzednio w „Odrze“, potem wydanymi osobno we wspomnianym już przeze mnie zbiorku „Ziemia odnaleziona przez nas“. Wielu dygnitarzy lokalnych czy to z administracji, czy z kół kościelnych, i samorządowych, wręcz mi wskazywało książkę Sulimy jako najlepszy bodaj dotąd „przewodnik“ po Warmii i Mazurach. Przewodnik, który analizuje zagadnienia od wewnątrz i z perspektywy dnia dzisiejszego. Myślę, że niemieńską korzyść mogłoby przynieść wydanie, jeśli nie wszystkich, to przynajmniej niektórych ze słynnych ongiś reportażu Jasienicy.

W świetle słów powyższych zrozumiałą będzie prawdopodobnie nacisk, jaki kładę na konieczność dobrych i prawdziwych reportażów z ziemi mazurskiej. Reportaże te bowiem stają się potem przewodnikiem praktycznego postępowania, niejako instrukcją dla działaczy terenowych, przez to już przede wszystkim, że zwracają uwagę na pewne problemy, że każą im myśleć... A zdrowego, rozsądnego myślenia, mówiąc językiem zabużańskiego repatrianta, „nadoż a nadoż tu trzeba...“

Ażebry krytyka tych czy innych spraw na odcinku warmijsko-mazurskim mogła być słuszna, konieczna jest znajomość terenu z lat poprzednich. Podkreślam to stale i wszędzie, brak bowiem skali porównawczej prowadzi częstokroć do sądów krzywdzących i nieścisłych. Ziemia mazurska przeżyła głęboką ewolucję. Problemy w pewnych okresach tutaj najistotniejsze w ogóle nie istniały na innych połaciach kraju. Stąd konieczność nacisku i uregulowania jednych zagadnień, zwykłą gradacją ważności przesunęła na dalszy plan inne, realizowane gdzieś w województwach warszawskim, krakowskim i in. w pierwszej kolejności. Niewspółmierność osiągnięć, dajmy na to w odbudowie miast, niekoniecznie ma świadczyć od razu o zacofaniu Mazur. Z drugiej jednak strony istnieją tam wycinki życia na prawdę mocno zacofane.

W okresie, gdy Warszawa zaczynała pierwszy etap swej odbudowy, gdy we Wrocławiu powstał już Uniwersytet i Politechnika, gdy stanęły do pracy pierwsze dźwigi w Szczecinie, na Mazurach i w warmijskiej problemem przez długi jeszcze czas zasadniczym było zagadnienie wysiedlenia Niemców i zastąpienia ich ludnością polską. Procesy te na pojezierzu północnym Polski postępowały bowiem daleko w tyle za Dolnym Śląskiem czy Pomorzem Zachodnim. Gdy tam nie można było znaleźć wolnego gospodarstwa do obsadzenia już w końcu 1947 r., to na Mazurach i na wiosnę 1949 mogli sobie nowo osiedlić przebieierać w niegorszej jeszcze ich liczbie. Opolszczyznę opuszczały już ostatnie transporty ewakuacyjne ludności niemieckiej, gdy na Mazurach i Warmii akcja cała zaczynała dopiero nabierać rozpędu.

Inaczej rozwijał się też na Mazurach problem narodowościowy. Posługując się nomenklaturą przyjętą przy omawianiu spraw rodzimej ludności polskiej z punktu widzenia narodowościowego, ujmuję też tym samym, może zbyt szerokim terminem — narodowościowy. Zagadnienie repolonizacji pozostałych w większym lub mniejszym stopniu uświadomienia narodowego zespolów ludnościowych na Ziemiach Zachodnich rozwijało się inaczej na Opolszczyźnie, Ziemi Lubuskiej i nielicznych enklawach Śląska Dolnego oraz Pomorza Zachodniego, a inaczej na Mazurach i inaczej znowuż na Warmii. Wiele było przyczyn, które wpłynęły na opóźnienie tego procesu na ziemiach północnych. Sam choćby fakt oddalenia od centrów kraju, mniejsza atrakcyjność gospodarcza oraz leśne ukształtowanie terenu wpłynęły na nie istniejący w tym stopniu nigdzie indziej stopień zdezorientowania Mazurów co do ich roli i praw w nowej Polsce. Wykładał aścja szabrownicza, rabun

ki watah bandyckich, a nieraz i pospolite wypadki morderstwa, przy jednoczesnym wyzywaniu od Niemców, nawet ze strony niższych czynników administracyjnych — wpłynęły na stosunkowo silne początkowo zachwianie zaufania autochtonów do Polski i Polaków. Jednocześnie wyrobiły w nich pewien kompleks niższości, który przez następne lata z wielkimi trudnościami trzeba było pokonywać.

Przypominam sobie, gdy w roku 1946 na urzędzonym przez Polski Związek Zachodni Zjeździe Mazurów i Warmiaków w Olsztynie przemawiałem do zebranych przedstawicieli miejscowej ludności rdzennej, jako tezę naczelną wysunąłem warunek, który początkowo wywołać miał pewne zdziwienie. Uznałem bowiem wtedy za słuszne mówienie autochtonom nie tyle o ich obowiązkach wobec ojczyzny, (ich obowiązkowość zresztą nigdy nie mogła i nie może chyba budzić wątpliwości), ale przeciwnie, o prawach, jakie ojczyzna im daje. Wołałem: — Żądajcie! — ci ludzie bowiem popadali częstokroć w stan, w którym już nie tylko żądać, ale i mówić się nie odważali. Trzeba im było zastrzyku optymizmu, otuchy, odwagi i wiary w Polskę, która nareszcie nadeszła.

Zakończenie wysiedlenia Niemców, powodzenie akcji weryfikacyjnej, zlikwidowanie bandytyzmu i szabrownictwa mienia niepomnieckiego, poprawa ogólna sytuacji — zwolna ową uległość, poczucie niższości usuwały. Dziś sprawy te zasadniczo należą do przeszłości.

Odbudowa gospodarstwa rolnictwa, przemysłu miejscowego itp. nie mogły więc nastąpić tu bezpośrednio po objęciu kraju przez polską administrację, ale dopiero po częściowym przynajmniej rozwiązaniu wspomnianych powyżej, w zarysie, problemów.

Stąd i efekty wymagają innego miernika niż w innych dzielnicach Polski. Bez znajomości terenu z wszystkich lat minionych od 1945 roku poczynając, miernika tego nie da się pojąć. Lata płyną i na Mazurach, ale płyną nie w oderwaniu od siebie, lecz w ścisłej łączności. Brak widzenia tych więzi łączy i korzenia czynionych błędów.

W tegorocznej swej włóczędce po kraju warmijskim i mazurskim usiłowałem znaleźć dokładnie początki i końce tych nici, wiodących przez niepowtarzalne i nieodwracalne wydarzenia ostatnich lat. Wydarzenia, najprościej, bez patosu zupełnie mówiąc — jednak historyczne. W plusach usiłowałem szukać pozytywów z przedparoletniej przeszłości, w minusach — błędów tamtych lat. To, że szala wagi opada stale po stronie plusów, jest już wynikiem i zasługą tego plemienia, które tam było, wchłonęło w siebie rzesze repatriantów i osadników, rośnie w trudzie i znoju wspólnego wysiłku, wspólnej, tym razem niewzruszonej już, budowy polskiej przyszłości.

Cykl reportażu, jakże tymi rozważaniami rozpoczynam, będzie miał na celu ujawnienie pewnych zagadnień nieznannej rzeczywistości mazurskiej, zanalizowanie a gdzie jeszcze autora nie będzie stać na wyciągnięcie pełnych wniosków — przynajmniej pokazanie tych zagadnień.

Eugeniusz Paukšta

etap

wkładka miesięczna

Karol Zajczniewski

Jeszcze o humanizmie chrześcijańskim

W publicystyce przyjęto, że autor nie odpowiada na recenzję o jego artykule. Ja jednak postąpię wbrew temu zwyczajowi, nawiązując niniejszą wypowiedź do przeglądu prasy w „Tygodniku Powszechnym” Nr. 230, w którym pan J. M. S. komentuje mój artykuł p.t. „Etap humanizmu chrześcijańskiego” („Etap” — „Dziś i Jutro” Nr. 169).

Odstępstwo to uzasadniam koniecznością poczynienia pewnych rozszerzeń i uzupełnień w treści tego artykułu, do którego prowokuje mnie mój recenzent. Wątpliwości moje formułuje p. J. M. S. w trzech pytaniach. Będę się ich trzymał, starając się dać na nie odpowiedź.

AUTONOMIA CELU DOCZESNEGO

Pierwsze pytanie brzmi: Jak pogodzić zasadę autonomii życia doczesnego — obcą pojęciom średniowiecznym, a postulowaną przez humanizm chrześcijański — z podstawową zasadą myśli chrześcijańskiej, że człowiek stworzony jest na to, aby Boga poznać, kochał Go i Mu służył.

Jest to zagadnienie hierarchii celów doczesnego i wiecznego. Zagadnienie to w różnych okresach historii Kościoła było rozwiązywane w pewnym stopniu odmiennie. Średniowiecze miało — ogólnie biorąc skłonność do niweczenia odrębności celu doczesnego i dla człowieka średniowiecznego istniał tylko jeden cel — było nim zbawienie duszy. Wszystko co doczesne było temu celowi bezwzględnie podporządkowane, spełniając rolę prostego środka. Było to doprowadzenie do ostatecznych konsekwencji augustyńsko-platońskiej koncepcji czło-wieka, w której ciało jest tylko więzieniem duszy, rwącej się ku Bogu. Nie darmo pisze Maritain, że chrześcijaństwu średniowiecznemu przyświeca ideał zakonnika, wyrzekającego się wszystkich dóbr i radości doczesnych dla Boga.

Nie ulega wątpliwości, że taka filozofia, negująca dopuszczalność pewnej specyficznej odmienności ziemskiego celu życia była niezgodna z istotnym sensem chrześcijaństwa. Wszak że człowiek prócz pierwiastka duszy posiada i pierwiastek ciała rządzący się odrębnymi prawami. Z faktu życia człowieka na ziemi i w społeczeństwie wynika cały szereg obowiązków, które nie są zawarte w nakazach Dekalogu, a które przeciw chrześcijaństwu afirmuje. Naukowe poznawanie świata, ulepszenie go przez technikę i postęp społeczny — oto zadania, które nie służą bezpośrednio

zbawieniu duszy, a które przeciw moralności chrześcijańska nie tylko toleruje, ale wręcz postuluje przez nakaz Boży: „I czyńcie ziemię sobie poddaną”. Pogląd, że istnienie tego odmiennego (choć równocześnie zawartego w wiecznym) celu do czasnego nie sprzeciwia się chrześcijaństwu, ale z niego wynika — oto właśnie zasada autonomii doczesności.

Jak w tej autonomicznej koncepcji przedstawia się hierarchia obu celów?

Autonomia celu ziemskiego nie jest jego niezależnością od celu wyższego, jakim jest zbawienie duszy; ale nie jest też jego zniweczeniem i degradacją do roli prostego środka, jak to rozumiało średniowiecze. Maritain precyzuje tę hierarchię następująco: wspólne dobro obywateli na ziemi nie jest już prostym środkiem do zdobycia życia wiecznego, ale staje się celem pośrednim.

Supremacja celu wiecznego istnieje nadal; ale czynnik doczesny w tej autonomicznej koncepcji podporządkowany jest nie w tytułu działacza instrumentalnego, że posłużymy się terminologią używaną przez Maritaina — ale z tytułu niższego działacza głównego.

Ta dość abstrakcyjna formuła wyraża się w historii cywilizacji chrześcijańskiej przejściem od idei „siły w służbie Boga” — typowej dla średniowiecznej sakralnej koncepcji chrześcijańskiej ustroju doczesnego — do idei „autonomii życia społeczno-politycznego”, która charakteryzuje nowoczesną, świecką koncepcję ustroju doczesnego, opartą na zasadach humanizmu chrześcijańskiego. Gdy średniowiecze, któremu przyświecał ideał sacrum imperium, odmawiało państwu zadań autonomicznych, usiłując je przekształcić w polityczne narzędzie Kościoła i oddając jego środki ziemskie sprawie zbawienia duszy — humanizm chrześcijański przyznaje państwu jego własny autonomiczny cel, wynikający z jego charakteru niższego działacza głównego. Podporządkowanie celowi nadprzyrodzonemu przybiera formę podporządkowania się już nie władzy Kościoła, ale jego nauce moralnej. Różnice tę najlepiej charakteryzuje sam Maritain pisząc w „Humanisme integral”: „Nie będzie to już idea nadprzyrodzonej władzy, która Bóg posiada nad rzeczami, ale raczej idea świętej wolności istoty ludzkiej poprzez łaskę jednoczącą się z Bogiem”.

Tak pojęta autonomia celu doczesnego nie sprzeciwia się treści chrześcijaństwa, ale przeciwnie — ona dopiero przyzna

je człowiekowi wynikającą z Ewangelii jego wolność i godność, ona dopiero warunkuje najbardziej pełny i wszechstronny rozwój jego osobowości, ona dopiero prowadzi go do Boga nie każąc rezygnować z przyrodzonych, naturalnych praw.

ASCEZA A DOBRA ZIEMSKIE

Na dwa następne pytania p. J. M. S., dotyczące miejsca ascezy oraz dóbr doczesnych w autonomicznej koncepcji humanizmu chrześcijańskiego, odpowiem łącznie, ponieważ między tymi zagadnieniami istnieje ścisły związek.

Naprzód asceza. Tu dotknął p. J. M. S. sprawy w czasach obecnych niesłychanie drażliwej, ale też istotnej. Nie ma dziś chyba w chrześcijaństwie instytucji, która by z taką siłą była atakowana przez tendencje reformistyczne jak asceza. W epoce, której bożyszczem jest walka z cierpieniem, aktywizm i produktywizm, uznaje się ją często za anachronizm. Nawet sami katolicy gromią w reformistycznym zapale średniowieczne przerosty ascezy, posuwają się niejednokrotnie aż do kwestionowania sensu jej samej.

Otóż z całym naciskiem stwierdzić należy błędność takiego stanowiska. Asceza jest integralnie związana z chrześcijańskim ideałem doskonałości. Skoro możliwość zbliżenia będzie dla chrześcijaństwa zawsze czynem heroicznym, wymagającym przewyciężenia samego siebie i nierozłącznym od elementu wyrzeczenia — w tym stanie rzeczy asceza ma dla niego głęboką wartość choćby jako zaprawa woli do stałego podporządkowania się głosowi rozumu, choćby jako szkoła gotowości do wyrzeczenia.

Nie oznacza to bynajmniej, by nie należało wystąpić przeciw tym przerostom i wynaturzeniom ascezy, przez które traci ona swój istotny sens. Humanizm chrześcijański, nie kwestionując wartości ascezy w ogóle dąży do oczyszczenia jej z wykrzywień średniowiecznych, ponieważ tylko tą drogą możliwa jest jej rehabilitacja w oczach człowieka nowoczesnego. Wydaje się, że zarysowują się dwa kierunki tej walki.

1. Asceza powinna przyjmować formy właściwe klimatowi epoki, w której żyjemy. W naszych czasach, których ideałem doczesnym jest praca wszystkich ludzi dla ich wspólnego dobra ziemskiego, średniowieczne formy ascezy słusznie uznawane są często za anachronizm. Po co w rzeczy samej uciekać na pustynię, albo zadawać sobie udręki słupników czy bi-

czowników, gdy tyle okazji do umartwienia się dostarcza sama realizacja wspólnego dobra na ziemi? Maritain postuluje „nowy styl świętości”; wydaje się, że podobnie można mówić o „nowym stylu ascezy”. Należy wyzwolić ascezę z pokutującego od średniowiecza mitu pu-stelni i włosienicy. Należy szukać jej nowych form, wypracować nowy styl zgodny z duchem epoki. W pierwszym rzędzie zasługuje na uwagę — jak to wykazał w swej książce ks. Stefan Wyszyński, obecny prymas Polski — praca ludzka.

1) Rzucone przezeń hasło „Módlmy się pracą” winno znaleźć wśród nowoczesnych katolików żywy odzwiek. Praca od czasu wygnania z raju wiąże się z pierwiastkiem wyrzeczenia, brania na siebie pewnej udręki. W niej to przede wszystkim można i należy szukać umartwienia. Heroiczne oddanie się bez reszty codziennej pracy dla wspólnego dobra wszystkich ludzi, poświęcenia towarzyszącego jej trudu Bogu, oto jedyna z form ascezy, nowoczesna i jakże dostępna każdemu katolikowi.

2. Asceza musi być aktem świadomym i dobrowolnym. Prawdę tę należy przypominać tym katolikom, w których hasło ulepszenia świata budzi intensywną obawę, że wówczas człowiek pozbawiony będzie uszlachetniającego i podnoszącego ku Bogu cierpienia.

Nawet gdyby istotnie postęp techniczny i socjalny zdolny był całkowicie wyeliminować cierpienie — co jest zgoła nieprawdopodobne — takie stanowisko i wtedy zasługiwałoby na potępienie. Oczyszczająca wartość cierpienia nie może być maską osłaniającą egoizm i obojętność wobec niedoli bliźnich; ofiarować Bogu można tylko cierpienie własne — nigdy cudze. Dlatego obawa przed zaniknięciem cierpienia nie może stać się treścią jakiegokolwiek programu socjalnego czy koncepcji ustrojowej, których najwyższym nakazem jest realizacja wspólnego dobra obywateli na ziemi. Dlatego ideał ascezy — z natury indywidualny — nie może sprzeciwiać się ideałowi ulepszenia świata — z natury społecznemu.

Sformułowana wyżej teza odnosi się również do stosunku chrześcijanina wobec dóbr doczesnych. Jest rzeczą oczywistą, że nie powinien on przywiązywać się do tych dóbr, uznając supremację celu nadprzyrodzonego. Historia Kościoła dostarcza wielu przykładów heroicznego wyparcia się doczesności. Oto jedna z medytacji kardynała Newmana: „Mój Panie, mój

jedyny Boże. Deus meus et omnia. Spraw, bym nie zabiegał o marność. Vanitas vanitatum et omnia vanitas. Wszystko na ziemi jest cieniem i marnością. Niech serce moje nie służy żadnej rzeczy ziemskiej. Niech nie odwraca mię od Ciebie”. Jest zrozumiałe, że taka negacja dóbr ziemskich nie może być jednak obowiązująca dla wszystkich katolików, ale tylko dla szczupłej garstki tych, którzy czują powołanie zakonne i którzy indywidualnie dobrowolnie i świadomie wyrzekają się świata. Katolicy świeccy mają jeszcze obowiązki wynikające z faktu życia w społeczeństwie; zasadniczym z nich jest praca dla wspólnego dobra wszystkich obywateli. Dlatego katolik świecki — aczkolwiek wolno mu w życiu indywidualnym wyrzec się dóbr ziemskich — nie może uchylać się od społecznego obowiązku pracy nad ulepszeniem świata. Świadomość marność świata nie może go powstrzymać od dążenia do poznania wszystkich jego tajemnic — jak świadomość wartości cierpienia nie powstrzyma go od działalności, zmierzającej do wyzwolenia z niego bliźnich.

Podobnie jak rezygnację wobec cierpienia tak i wyrzeczenie dóbr ziemskich nie może być ka-nonem działalności społecznej katolików, bo oznacza to całkowite jej wynaturzenie. Tym po-glądem humanizm chrześcijański odcina się od tych katolików konserwatywnych, którzy w imię supremacji celu nadprzyrodzonego postępują „powrót do kołowrotka”.

Należy zerwać z bliskim manicheizmem poglądem, który każe potępiać dobra ziemskie w ogóle, jako odrywające człowieka od Boga. Należy rozumieć ich sens w wielkim planie boskim drogi człowieka ku zbawieniu. Czy dobra ziemskie staną się przeszkodą dla zbawienia, czy też jego potężnym narzędziem, zależy tylko od działalności społecznej katolików. Stworzenie materialnych warunków pod rozwój osobowości i wewnętrzne doskonalenie się wszystkich ludzi, stworzenie takich stosunków między nimi, by wykluczyć ucisk, krzywdę i nienawiść — oto zadanie katolików zarazem doczesne i wieczne. Dla chrześcijaństwa naszych czasów charakterystyczne wydaje się właśnie zrozumienie tej doniosłej roli, jaka w doprowadzeniu człowieka do Boga odgrywają dobra ziemskie. Jakkolwiek ocenialibyśmy dzieło Ks. Thilisa z Malines, przyznać należy, że jest ono wrazem tych właśnie współczesnych tendencji.

(Dokończenie na str. 9)

Maria Bohdańska

O pewnej mało atrakcyjnej cnocie

Głęboko zapadła mi w serce i w pamięć dyskusja prowadzona kiedyś w gronie kilku akademików. Postawiono problem: co w dzisiejszej rzeczywistości społecznej ważniejsze — posłuszeństwo i kształtowanie w sobie dyspozycji i gotowości dla uznawania autorytetów czy też własna, niezależna inicjatywa.

Przyznaję — niebardzo to zreczne przeciwstawienie, choć może znamienne zarazem przez niedopatrzanie, boć przecież jedno nie musi wykluczać drugiego. Nie sformułowano też wyraźniej jakie dziedziny ma objąć dyskutowana inicjatywa i jakim to autorytetom winniśmy posłuszeństwo.

Jednak nie chodzi tym razem o precyzję w ujęciu zagadnienia.

Ciekawsza od samego problemu była bardzo symptomatyczna reakcja młodych uczestników. Większość, jak łatwo się domyślić, stanęła na stanowisku rewizjonistycznym: za obowiązujące uznawała selekcjonowanie autorytetów, a zatem odrzucanie jednych, akceptowanie drugich.

Duch podważania tego, co ustalone, i pozornie niewzruszone, niechęć do uznawania jakiegokolwiek „niesprawdzonego” autorytetu — wszystko to nie jest obce młodemu pokoleniu. Jest w tym coś niepokojącego i porażającego zarazem. Bo poprzez echo odwiecznego, buntowniczego „non audiam” przebijają głęboka szczerość i gorącość uczuć. I jakiegoś żarliwego pragnienia wyzwolenia się, spod przemocy tych sił, które uzasadnione jedynie konwenansami społecznymi, czy też interesami pewnych grup, mienia się być autorytetami.

Jeszcze o humanizmie chrześcijańskim

(Dokończenie ze str. 8)

O LITERATURĘ HUMANISTYCZNĄ I PERSONALISTYCZNĄ.

Słusznie stwierdza p. J.M.S., że humanizm chrześcijański stał się jednym z najważniejszych problemów współczesnej myśli religijnej. W ostatnich czasach daje się zauważyć i u nas — zwłaszcza, w kołach młodych katolików — wzrost zainteresowania kierunkami filozoficznymi, opartymi na humanizmie integralnym i personalizmie. Nie ulega wątpliwości, że jest to pewnego rodzaju *signum temporis* — naturalna reakcja przeciw deprecjonowaniu godności ludzkiej przez brutalną rzeczywistość wojny i faszyzmu. Nie trzeba też dowodzić jak cenne jest to zjawisko dla naszego katolicyzmu, pogrążonego dotąd — ogólnie biorąc — w intelektualnej drzemce. Ale równocześnie stwierdzić należy, że te reformistyczne tendencje młodych katolików kryją w sobie i niebezpieczeństwa.

Zdaje się je dostrzegać i p. J. M. S., pisząc o tych niejasnościach i nieporozumieniach, które towarzyszą stale trudnemu i skomplikowanemu zagadnieniu humanizmu chrześcijańskiego, albo wskazując na dzieło ks. Thilisa z Malines jako wyraz błędnego „przejaskrawienia” też maritainowskich.

I oto dochodzimy do praktycznego postulatu, który chce-

Buntując się, sprawdzając dziesięć razy słuszność tego, co jej się podaje, patrząc sceptycznie i nie dowierając, — męczy się młodzież swą niewiarą. Chce czemuś wierzyć, do czegoś się przywiązać, ale nie jest to łatwe. Ma rację kol. Zygmunt Waclaw w „Etapie” („Dziś i Jutro” Nr 26) mówiąc o załamaniu się w oczach młodzieży dzisiejszej tak bardzo wysoko stawianych jeszcze niedawno ideałów narodowych i autorytetów obowiązujących w pewnych grupach społecznych. Zbyt dużo wartości stawianych bardzo wysoko w naszych już oczach padło i zawiodło — stąd ta nieufność i lęk przyjęcia czegokolwiek nim się wszystkich miar nie przyłoży...

Miary, które się przykłada, są jakościowo bardzo różne. — A przecież przy całym zróżnicowaniu jest jedno wspólne: jest to tęsknota do wyłuskania spośród całej plejady „autorytetów” takie go któremu wreszcie można by oddać się w służbę całkowicie, wraz ze swą twórczą, choć młodą niespokojną inicjatywą.

I wtedy dopiero znajdzie się miejsce na posłuszeństwo. Bo jeśli młodzież buntuje się przeciw niemu, to przede wszystkim wtedy, gdy wymaga się go od niej — ot tak — sztuka dla sztuki — posłuszeństwo dla posłuszeństwa. Młodzież za wszelką cenę chce dojrzeć umotywowanie wymagającego od niej posłuszeństwa — jego wielki głęboki sens. Chce wiedzieć komu zaufała, a z chwilą gdy potrafi zaufać (jakież to bardzo trudne!) — przestanie chyba istnieć alternatywa: posłuszeństwo czy własna inicjatywa.

my postawić w zakończeniu tego artykułu. Wzrostowi zainteresowania humanizmem chrześcijańskim towarzyszyć musi wejście jego problematyki na łamy naszej publicystyki i literatury. Młodzi ludzie, których on frapuje, muszą dostać do rąk nie tylko dobrze napisane popularyzacje dzieł myślicieli zagranicznych, ale i same dzieła. I tu miejsce na apel do katolickich instytutów wydawniczych, a przede wszystkim do nowoutwartej spółki wydawniczej „Pax”, która powieścią Bernanosa zaingerowała serię przekładów obcych dzieł wyborowych. Nie mamy dotąd polskich tłumaczeń klasycznej literatury humanistycznej i personalistycznej. Stale brak u nas polskiego przekładu podstawowego dzieła w tej dziedzinie „Humanisme integral” Maritaina nie mówiąc już o innych pismach tego autora czy o „Manifeste personaliste” albo „Revolution personaliste et communautaire” Mouniera. Edycja tego rodzaju książek, które przedstawiając zagadnienie humanizmu chrześcijańskiego we właściwy sposób przywróciłyby się do usuniecia istniejących u nas na tym tle nieporozumień i błędnych interpretacji, staje się jednym z najpilniejszych nakazów chwili. Woła o nie — jak o niezbędne tworzywo narastająca młoda tkanka polskiego katolicyzmu.

Karol Zajczniewski

Nie próbuję rozwijać tego problemu dalej, choć jeśli chodzi o światopogląd katolicki, to kuszące są perspektywy, jakie otwiera! Chodzi mi tu jednak tylko o ogólną charakterystykę postawy bardzo wielu młodych w odniesieniu do wszelkiego typu autorytetów w najszerszej płaszczyźnie światopoglądowej.

Sprawa ta nie pozostaje tylko w sferze abstrakcyjnych dyskusji akademickich. Jej poważny refleks znajdziemy w każdym konkretnym zetknięciu kogoś, kto uważa się za uprawnionego do rozkazowania — z jednej strony, z kimś od kogo, według obowiązujących norm, czy przyjętych konwencji, wymaga się posłuszeństwa.

Może najsilniej i nieraz najtragiczniej przejawia się to w stosunkach panujących obecnie w rodzinie.

Wychowywanie dziecka w kręgu domu rodzinnego stopniowo, lecz wyraźnie zmniejsza swój zakres i czas trwania. Szereg grup i instytucji wychowawczych, posiadających wyspecjalizowane w tym celu siły, przejmują z rąk rodzinnego kierownictwa nad dzieckiem, stając się dlań nowym obok rodziców (a czasem z pominięciem rodziców) autorytetem wychowawczym. Materialna zależność dziecka od rodziców też nie trwa tak długo, jak to było jeszcze w okresie przedwojennym.

Pomijając już wszelkie względy i opory psychologiczne, jakże trudno w najogólniejszym aspekcie społecznym jest wymagać od młodzieży realizacji tak trudnej i mało atrakcyjnej cnocie, jaką jest posłuszeństwo. Z pewnością nigdy nie była to sprawa najłatwiejsza, ale dzisiaj sprawa rodzicom i wychowawcom szczególnie kłopot. Przeprowadzając terenowe badania socjologiczne na wsi prawie na każdym kroku spotykałam się ze skargami rodziców: „młodzi nie mają dla nas szacunku”, „zdaje im się, że wszystkie rozumy pojedyli”, „gdzież to za naszych czasów mogłyby dzieci być tak nieposłuszne” — itd itd.

I to jest chyba najboleśniejszy zadziór w stosunkach między rodzicami a dziećmi. Dzisiaj nie wystarczy na nią patrzeć jak na odwieczny z pokolenia na pokole nie powtarzający się konflikt między tymi którym „życie dzwoni”, a tymi, „którym dumni śmierć”. Problem ten ma bowiem głębokie uzasadnienie w skomplikowanych przeobrażeniach czasów dzisiejszych i w stylu naszej epoki, z jej młodzieńczością, rozmachem i rozpędem, którym nie każdy może dotrzymać kroku. Dopuszczenie młodzieży dzisiejszej do bardzo wielu dziedzin życia i pracy, złożenie na niej stosunkowo dużej odpowiedzialności, wczesna możliwość, a często konieczność zarobkowania prowadząca do uniezależnienia się materialnego od domu rodzinnego, — wszystko to nie stwarza sprzyjających aury dla wszczepiania w młodzież posłuszeństwa. Przeobraża się w szybkie tempo dawny porządek społeczny, na którym bardzo silnie opierały się przyrodzone prawa rodziców do dziecka. Równolegle widzimy, że znacznie mniejsza jest dzisiaj skuteczność norm religijno-moralnych, nakazujących szacunek i posłu-

szęństwo rodzicom, niezależnie od tego, jaką wartość moralną by przedstawiali.

Może więc wobec tej daleko idącej zmiany porządku społecznego należało by zrezygnować z zaprawiania młodego pokolenia do unawiania tych pierwszych autorytetów społecznych, jakimi są rodzice? — Chyba jednak nie. Niebezpieczeństwem byłoby zbyt groźne i zagrażałoby nie tylko wartości domowego ogniska. Społeczna wartość tej cnocie, uznanej nawet w krajach socjalistycznych, skłania raczej do szukania pewnych sposobów zaradczych.

Może nie byłoby od rzeczy próbować bardziej ścisłych, niż to jest do tej pory, form współdziałania między rodzicami a wszelkiego typu grupami wychowującymi czy nauczającymi młodzież. Sprawa to jednak szeroko zakrojonej społecznej polityki wychowawczej.

Zanim dojdzie do tego, warto by zwrócić uwagę na zadania wprawdzie trudniejsze niż najbardziej szeroko zakrojona i zorganizowana współpraca między poszczególnymi instytucjami a rodziną, niemniej jeszcze ważniejsza: w przywróceniu rodzicom w oczach dziecka ich dawnej, a dziś tak często straconej pozycji.

Ten ostatni atut, to pełna i bogata osobowość rodziców, która nie hamując inicjatywy młodych, niezbędnej wszak w dzisiejszych warunkach życiowych, zachowywałaby w świadomości młodych prawo do wglądu oraz (powiedzmy to bardzo cicho) — do wymagania szacunku i... posłuszeństwa.

Warto na zakończenie podzielić się ciekawym spostrzeżeniem, jakie robi Jurovsky („Motivatia dobruho a zleho pomeru mladce k rodicom”, 1946) na marginesie przeprowadzonej wśród słowackiej młodzieży dorastającej ankiety o stosunku do rodziców. Dla młodzieży dzisiejszej nie to jest najważniejsze, w jakim stopniu ma przez rodziców zapewnioną opiekę materialną i wygody, lecz przede wszystkim, jaki jest osobisty stosunek rodziców do nich.

Mam przekonanie, że nie wszyscy rodzice zdają dziś sobie z tego sprawę i może w niejednym wypadku należało by zrobić w tej dziedzinie korektę. Dzieciom, a może bardziej jeszcze młodzieży dorastającej trzeba nie tylko chleba i dachu nad głową. Dla niejednego większą wartością stanowić będzie okazane serce i szczerze bez mentorskiego spojrzenia — zainteresowanie tym, co robi, z czym się biedzi i co próbuje rozwickać.

Taką czy inną drogą dochodzimy ostatecznie do prawd starych jak świat. Żeby jednak postawić kropkę nad „i”, powiedzmy sobie, że tylko miłość i szacunek dla drugiego człowieka — w tym wypadku wobec własnego dziecka — wytworzyć mogą podatny grunt dla zakiełkowania i gotowości do posłuszeństwa i szacunku dla autorytetu rodziców

To, że najbardziej sprzyjające warunki dla tego subtelnego procesu stworzą się tam, gdzie pomocy szukać się będzie w wartościach nadprzyrodzonych i w oparciu o Autorytet najwyższy, to sprawa inna — choć może nie dla wszystkich jeszcze dostatecznie zrozumiała.

Maria Bohdańska

SŁOWO O »SŁOWIE AKADEMICKIM«

Dziennik katolicki „Słowo Powszechne” charakteryzuje się m. in. także tym, że na swych łamach udziela miejsca licznym wkładkom zajmującym się ściśle określoną problematyką. Należy do nich również „Słowo Akademickie” — tygodniowa wkładka poświęcona sprawom młodzieży akademickiej. Na nią też chcielibyśmy zwrócić uwagę czytelników, w pierwszym rzędzie kolegów, słuchaczy wyższych uczelni.

„Słowo Akademickie”, jak przystało na pismo specjalne, przeznaczone dla określonych odbiorców, poświęca oczywiście dużo miejsca sprawom ściśle „fachowym”. Na tym polega jego rola informacyjna, jako pisma akademickiego zdolnego zainteresować wszystkich studentów, bez względu na ich przekonania światopoglądowe. Zagadnieniem jednak większej wagi, głównie dla katolickiej młodzieży akademickiej, której organem prasowym jest „Słowo Akademickie”, winna być jego problematyka ideologiczna.

Byłoby zbyt wielkim uogólnieniem proste stwierdzenie katolicyzmu „Słowa”, będąc świadomym różnorodności tendencji, jakie mogą być w ramach światopoglądu katolickiego reprezentowane. Szereg wypowiedzi napotkanych na jego łamach skłania nas do przypuszczenia, że reprezentuje ono w dzisiejszej publicystyce katolickiej nurt humanistyczny. Tak np. w numerze 217 (850) w artykule Janusza Dołęgi p. t. „Konfesjonal i szeroki świat” czytamy: „...Ocena nadchodzących czasów zdaje się wskazywać, że spostrzeżany wszędzie twórczy ferment światopoglądowy nosi w sobie zarodek nowej epoki, której podwalinami będą zasady postępu społecznego w oparciu o humanizm chrześcijański. Nie wierząc zaś w samoczynne procesy socjologiczne, rozumiemy konieczność wzięcia udziału w kształtowaniu nowej epoki”. I dalej: „...nie ma dla nas dylematu — życie wewnętrzne, czy też działalność publiczna — gdyż są to dziedziny integralnie ze sobą powiązane”.

Nie więc dziwnego, że podobne stanowisko „Słowa Akademickiego” akcentujące humanistyczny kierunek rozwoju w myśli katolickiej zbliża się do stanowiska zajętego przez „Etap”. Już podjęcie dyskusji „O naszym podwórku”, zainicjowanej w „Etapie” artykułem Zacharzewskiego, wskazywało na istnienie pewnych zbliżeń. O tym, że nie dotyczą one tylko tematyki, lecz posiadają głębsze uzasadnienie ideologiczne, można sądzić na podstawie recenzji o „Etapie” zamieszczonej w 106 (741) numerze „Słowa”. Jakkolwiek dość skąpa i ostrożna w ocenie, jest wyrazem dużego zainteresowania naszą wkładką.

Te zaobserwowane na łamach „Słowa Akademickiego” tendencje humanistyczne zdają się dawać świadectwo naszemu głębokiemu przekonaniu, że ideał nowej cywilizacji chrześcijańskiej, której cechą dominującą będzie rehabilitacja stworzenia w Bogu jest wielu młodym katolikom szczególnie bliski.

Pisząc o „Słowie Akademickim” trzeba koniecznie poruszyć jeszcze jedną, bardzo ważną sprawę. Akademicka młodzież katolicka nie może zapominać, że „Słowo” jest obecnie ich jedynym pismem. Toteż musi wyciągnąć z tego praktyczne wnioski. Polegają one na obowiązku stałej współpracy z redakcją. Obecne zainteresowanie katolickich ośrodków akademickich działalnością „Słowa” wydaje się być niewspółmiernie małe w stosunku do istniejących realnie potrzeb. Takie sprawy jak zwiększenie sieci lokalnych korespondentów, sprawny kolportaż pisma wśród mas studenckich itp. winny być obchodzone wszystkich studentów-katolików. Obowiązek ten dotyczy także tych kolegów, którzy współpracują z innymi pismami katolickimi. Jakkolwiek jest to okoliczność wielce chlubna, nie zwalnia jednak owych młodych publicystów od rzetelnej pracy na odcinku akademickim, z którym przez swoje studia są najściślej związani. Zwołując redaktorom „Słowa Akademickiego” dalszej owocnej działalności, życzymy również wszystkim kolegom, by wyszli z mało zaszczytnej roli biernych obserwatorów.

W. Bruno

POPIERAJJCIE

Katolicki Uniwersytet Lubelski

Na Wybrzeżu

Zmiany... zmiany... zmiany... stwierdzenie wstępne. I to na wszystkich niemal odcinkach życia kulturalnego Wybrzeża Gdańskiego. Zmiany personalne, ale takie, które pociągają za sobą nieuchronne przemiany „w rzeczy samej”. W świecie muzycznym — ustąpił ze stanowiska dyrektora Filharmonii Bałtyckiej jej założyciel i paroletni kierownik, Stefan Słodziński (zostając nadal rektorem Wyższej Szkoły Muzycznej w Sopocie), by przekazać batutę Zygmuntovi Latozewskiemu, przybytemu do Gdańska z Warszawy. Warszawa daje, ale niestety, jeszcze ośrodek zabiera... Odczuło to dotkliwie środowisko plastyczne Wybrzeża, z którego odeszli z nowym rokiem do stolicy: Marian Wnuk, rektor Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych w Sopocie, wybitny rzeźbiarz, zaśluzony organizator i wychowawca oraz Stefan Nacht-Samborski, profesor teatru, znakomity pedagog i jeden z czołowych malarzy polskich. O zmianach w życiu muzycznym i plastycznym Wybrzeża Gdańskiego na razie tylko komunikujemy, by nieco bliżej poinformować o zasadniczym przeobrażeniu, jakiego uległo z nowym sezonem 1949/50 tutejsze życie teatralne.

Jak wiadomo, na Wybrzeżu Gdańskim funkcjonują trzy sceny: Teatru Dramatycznego w Gdyni, Teatru Kameralnego w Sopocie i Teatru Wielkiego w Gdańsku. Wszystkie one stanowią Państwowy Teatr Wybrzeża i podlegają jednolitemu kierownictwu artystycznemu i administracyjnemu. W ub. sezonie 1948/49 dyrektorem artystycznym był Iwo Gall, a gros zespołu aktorskiego stanowili wychowankowie jego studia, pozostała część rekrutowała się z sił miejscowych, bądź sprowadzonych z innych miast. Z nowym sezonem Gall wraz ze swoimi wychowankami przeniósł się do Łodzi, a na jego miejsce przyszedł dotychczasowy dyrektor Państw. Teatrów w Białymostku i Cieszyńcu, Stanisław Kwaskowski, a z nim kilkudziesięciu aktorów tamtejszych scen. Rewolucja zatem w życiu teatralnym Wybrzeża niemalże totalna. Niemal, bo grupa 12 aktorów grających w ubiegłym sezonie w Państw. Teatrze Wybrzeża (przeważnie stale tutaj zamieszkujących) grać będzie w nim i w roku bieżącym.

Nowoukonstytuowany Teatr Wybrzeża rozpoczął pracę w tempie godnym uznania i podkreślenia. Oto wszystkie trzy sceny teatru dają premiery już we wrześniu! Dla mieszkańców naszego „trójmiasta”, przyzwyczajonych do inauguracji sezonu teatralnego w październiku (w Gdyni odbyła się ona w ub. roku 26.X) i do rzadkich zmian w repertuarze, miła niespodzianka. Aż trudno uwierzyć rozwieszonym obok siebie plakatami: 24.IX w Gdańsku — „Poskromienie złościci” Szekspira, 27.IX w Gdyni — „Zemsta” Fredry, 30.IX w Sopocie — „Okno na świat” Rachmanowa i Ryssa. Oby ten wyścig premier trwał przez cały sezon 1949/50.

Na konferencji prasowej w dniu 11.IX zapowiedział dyr. Kwaskowski wcale interesujący repertuar na najbliższy okres. Tak więc, poza wymienionymi wyżej, będą wystawione na scenach Państw. Teatru Wybrzeża do końca grudnia br. następujące sztuki: „Młoda Gwardia” Fadiejewa, „Ożenek” Gogola (te w ramach miesiąca przyjaźni polsko-radzieckiej), „Łuk triumfalny” Reynala, „Szczygli zaulek” Shawa, „Odwety” Kruczkowskiego, „Gólbie serce” Galsworthy'ego, „Pan Damazy” Bliznińskiego, „Wesele Figara” Beaumarchais, wodewil „Królowa Przedmieścia” Krumłowskiego. Jak widać, nie można narzekać ani na ilość, ani na jakość sztuk, które w najbliższym czasie mają się przewinać przed naszymi oczyma. Jest co prawda w tym repertuarze dość wyraźna przewaga sztuk komediowych, ale są to komedie w dobrym gatunku. Znając gusta publiczności „wybrzeżowej”, która tak zawzięcie domagała się od Galla lżejszego repertuaru, można z góry stwierdzić, że tym razem z doboru sztuk będzie zadowolona.

A czy będzie zadowolona z ich wykonania? Oto jest pytanie... Obecnie z teatrem Galla przez pełne trzy lata wycięgnięto swe piętno na kulturze teatralnej mieszkańców Gdyni, Sopotu, Gdańska, ba, ono tę kulturę często od podstaw budowało. A że to są dobre podstawy i wcale solidne trzyletnie „kursy”, nie łatwo będzie dzisiaj wojować, a jeszcze trudniej zwyciężać na ziemi Gallów...

Sopot, wrzesień 1949.

Włodzimierz Wnuk

GDANSK

W powodzi najrozmaitszych wiadomości — politycznych, gospodarczych, kulturalnych — giną często dziwnie przez ogół niezauważone fakty, o których powinno być głośno, właśnie w rubrykach czasopism przeznaczonych na sprawy kulturalne. Jedną z najbardziej dotkliwych strat kulturalnych wojny ostatniej — były straty poniesione w budynkach historycznych, w średniowiecznym czy renesansowym wyglądzie naszych wielu, bardzo wielu, miast. Szczyśliwie uchowały się Kraków i Toruń, ale pastwą niemal zupełnego zniszczenia padł Gdańsk. Lecz oto znad morza zaczynają dochodzić nader przyjemne wieści. Odbudowa Gdańska — i to właśnie tego Gdańska historycznego — poczyniła ostatnio bardzo poważne postępy. Restauruje się historyczny wygląd kamienie—

tak skutecznie, że do nich w tej chwili przeniesione zostały już do Gdańska, jako siedziby województwa morskiego, wszelkie urzędy dotychczas rozrzucone na trasie Wrzeszcz — Oliwa — Sopot. Przeniesienie urzędów nie oznacza jeszcze odbudowy miasta. Ale z doświadczenia Warszawy wiemy, jak ważne jest właśnie owo przeniesienie urzędów dla dalszych etapów odbudowy: etapów mieszkaniowych i tej rekonstruującej zabytki. A rekonstrukcja zabytków — w tym kościołów bodaj na miejscu pierwszym — to część zasadnicza naszej akcji kulturalnej.

O REKONSTRUKCJI — CZĘŚĆ DRUGA

W tym wypadku o rekonstrukcji bibliotek. Bibliotek polskich klasyków. Podziwu godną jest praca dokonana w tym kierunku. W tej chwili — równo—

ześnie — wydawane są zbiorowe wydania następujących pisarzy polskich:

SIENKIEWICZA — wydaje PIW, w małych tomkach, po 200 str. Wyszła seria pierwsza, 10 tomów. W następnej sygnalizowane jest „Quo Vadis”. Całość obliczona na 60 tomów, po 20 tomów rocznie. Należy ubolewać, że przedpiata na dzieła Sienkiewicza została zorganizowana tak wadliwie i że nawet niespecjalnie wysoka cena tomu (500 zł) — choć i ona powinna być niższa („Czytelnik” daje w swych klubach tomy o większej objętości za 300 zł) — została jeszcze podwyższona niezwykłym rygiorem abonamentu. Nie każdy może wpłacić od razu 8.000 zł, żeby móc otrzymywać Sienkiewicza.

A chyba każdy chciałby mieć tego pisarza w domu. Nie mogła się na tę sumę zdobyć jedna z publicznych bibliotek, a co dopiero człowiek prywatny.

Wypada apelować o zmianę rygorów subskrypcji. Prócz wydania zbiorowego PIW stale wypuszcza coraz to nowe edycje poszczególnych dzieł Sienkiewicza. Po kilkakrotnych wydaniach „W Pustyni i w Puszczy” oraz „Krzyżaków”, ostatnio ukazało się nowe wydanie „Quo Vadis”, a w tych dniach ujrzeliśmy „Potop” z ciekawymi rysunkami Uniechowskiego, popsatymi nieot przez druk rotacyjny. Nakład „Potopu” 50.000 egzemplarzy.

ORZESZKOWA — „Książka i Wiedza” stale wypuszcza coraz to nowe tomy wydania zbiorowego. Wyszło już ich kilkanaście. Całość obliczona na kilkadziesiąt. Redakcja pism Orzeszkowej i Sienkiewicza spoczywa w rękach prof. Krzyżanowskiego Juliana, który również przygotował wydanie Słowackiego.

UROCZYSTOŚCI CHOPINOWSKIE



ZBLIŻA się już do końca druga faza Międzynarodowego Konkursu im. Fr. Chopina, w której każdy z uczestników wykonać musi szereg utworów na fortepian solo. Repertuar każdego recitalu przedstawia się w ten sposób, że każdy pianista gra jedną z dwu sonat — (b-moll lub h-moll) albo, jeśli nie wybierze sonaty, scherzo oraz do wyboru fantazję, barkarolę lub baladę, dalej jeden nokturn, dwa mazurki, dwie etiudy, jednego poloneza (As-dur, fis-moll, lub Poloneza Fantazję).

Po zakończeniu tej części konkursu uczestnicy, którzy otrzymają jako ocenę minimum 18 pkt. (z 25 możliwych) wezmą udział w finale, polegającym na wykonaniu z towarzyszeniem orkiestry jednego z dwu koncertów fortepianowych Chopina.

W niedzielę, 25 bm. odbyła się wycieczka członków jury IV Międzynarodowego Konkursu im. Chopina oraz uczestników Konkursu do Szafarni (woj. Poznańskie). Szafarnia to miejscowość, w której Chopin spędzał prawie wszystkie wakacje szkolne w czasie swej młodości.

Tam właśnie, w Szafarni, Chopin najbliższemu żył się z polską muzyką ludową; w listach jego często znajdujemy wzmianki o Szafarni („kurier szafarski”).

W dniu 25 bm. w 125 rocznicę pobytu Chopina na terenie powiatu

Czytajcie

„Słowo Powszechne”

rypińskiego, odbyła się w Szafarni uroczystość inauguracyjna pierwszego dorocznego dnia Chopinowskiej wsi.

Po przemówieniu wicemin. Sokorskiego, odbył się na tarasie pałacu koncert historyczny „Chopin w Szafarni”.

Program koncertu wypełniły balady, mazurki i nokturny Chopina w wykonaniu S. Szpinałskiego, pieśni do muzyki Chopina, odśpiewane przez I. Jesiakównę przy akompaniamentem E. Rezlera oraz Andante Spianato odegrane przez St. Szpinałskiego z towarzyszeniem Pomorskiej Orkiestry Symfonicznej pod dyr. A. Rezlera.

Po koncercie odbyło się otwarcie wystawy, pt.: „Okolica Chopina”. Ekspozycja ciekawie pomyślanej wystawy, zaprojektowanej przez sekretarza Komitetu Chopinowskiego na Pomorzu M. Tomaszewskiego, zgromadzono w dwóch salach.

W związku z rocznicą chopinowską i mickiewiczowską ukazało się nakładem Instytutu Fryderyka Chopina, z subwencji Komitetu Wykonawczego Roku Chopinowskiego 1949, ozdobne wydanie „Dwóch pieśni Chopina” do słów Mickiewicza.

Wydawnictwo obejmuje tekst muzyczny pieśni „Precz z moich oczu” i „Moja Pieszczotka” z odbitką autografu Chopina oraz artykułami prof. Z. Jachimeckiego i Krystyny Kobylańskiej. Szatę zewnętrzną wydawnictwa projektował prof. Andrzej Rudziński.

FRANCUSKI Komitet uczczenia stulecia śmierci Fryderyka Chopina zawiadamia że w najbliższym czasie odbędzie się następujące uroczystości chopinowskie: odtworzenie mszy żałobnej za Fryderyka Chopina w kościele Madeleine z udziałem orkiestry państwowej i chóru rozgłośni francuskiej oraz w końcu października, w pałacu de Chaillot — wielki koncert popularny z udziałem pianistki Marguerite Long.

DNIA 24 bm. bawiący w Warszawie muzykolog turecki Djewod Mendouh Altar wygłosił w sali Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej odczyt na temat „Chopin w Turcji”.

Na odczycie, który zgromadził licznych słuchaczy, obecny był m. in. ambasador Turcji w Warszawie Simasi Deorlu.

Parę miesięcy temu UNESCO dla uczczenia 100 rocznicy zgonu Chopina zwróciło się do szeregu wybitnych kompozytorów całego świata o napisanie utworów w hołdzie genialnemu kompozytorowi.

Z kompozytorów polskich zaproszenie otrzymał Andrzej Panufnik, który odpowiadając na zamówienie UNESCO napisał „Suite Polską”.

W tych dniach kompozytor polski udał się do Paryża w związku z mającym się tam odbyć pierwszym wykonaniem tego utworu.

RADZIECKA opinia publiczna przejawia wielkie zainteresowanie przebiegiem Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w Warszawie.

Ostatni numer czasopisma „Sowietskoe Iskusstwo”, organu wszechzwiązkowego komitetu do spraw sztuki przy Radzie Ministrów ZSRR, zamieszcza obszerną relację z rozmów swego korespondenta z bawiącym w Warszawie członkiem jury konkursowego, wybitnym pianistą radzieckim, rektorem konserwatorium leningradzkiego, Pawłem Sieriebriakowem.

Pianista radziecki dał wyraz swemu uznaniu dla organizacji konkursu i podkreślił, iż społeczeństwo polskie i cała prasa poświęcają konkursowi wiele uwagi. Wskazując na to, że Konkurs Międzynarodowy w Warszawie jest jedną z licznych imprez urządzanych ku upamiętnieniu genialnego syna narodu polskiego, Sieriebriakow podkreślił, że ekipa pianistów radzieckich, reprezentująca świat muzyczny ZSRR, łączy się z całym narodem polskim w hołdzie dla genialnego kompozytora.

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Ks. EUGENIUSZ DĄBROWSKI

PROLEGOMENA

do

NOWEGO TESTAMENTU

O P O L E 1 9 4 9

Dzieło to w syntetycznym ujęciu omawia kwestie wchodzące w zakres tzw. introdukcji biblijnej. Dalekie jest wszakże od suchej ekspozycji podręcznikowej, operowania schematami lub nagromadzenia szczegółów wyłącznie erudycyjnych. Przeciwnie, o każdej księdze Nowego Testamentu zawiera dane oparte na ostatnich wynikach nauk biblijnych, z pominięciem kwestii akademickich, nie mających większego znaczenia.

Autor w książce tej zamierza pomóc czytelnikowi Nowego Testamentu w rozwikłaniu trudności związanych z interpretacją tekstu biblijnego. Nie pomija też niczego, co by mu to zadanie ułatwiło. Ale czyni to w sposób osobliwy. Ewangelisti, św. Paweł, Apostołowie przeuwają się kolejno przed naszymi oczyma, każdy z napisanymi przez siebie księgami. Jest ich wiele (27), a przecież wszystkie one do jednego zmiernają celu... Autor usiłuje odnaleźć tę bogatą różnorodność jednej myśli, zogniskowanej w postaci Chrystusa i Jego dzieła Odkupienia. Całość poprowadzona jest rozprawą pt.: „Co to jest Nowy Testament?”, w której jasno wyodrębniono samą tematykę i zajmująco opisano krótkie jej dzieje.

KULTURALNY

SŁOWACKI — ma ukazać się najdalej do połowy grudnia w 12 tomach, nakładem Ossolineum, na specjalnie pięknym papierze.

MICKIEWICZ — wszystkie pisma poetyckie w czterech ślicznie wydrukowanych tomach ukazały się na wiosnę br. Wobec tego pytanie: co z Krasickim?

PRUS — ukazuje się wolniej, niż należało oczekiwać po zeszlaczonych zapowiedziach „Książki”, ale się ukazuje.

ZEROMSKI — w tym względzie „Czytelnik” święci prawdziwy triumf. Podjęta przed dwoma laty edycja pism wszystkich, niemal dobiega końca. Powieści wydane są już wszystkie, proza publicystyczna, dramaty, nowele — chyba niedługo zamkną całość wydania.

JEZ Teodor Tomasz — po szeregu powieści z dziejów Słowiańszczyzny południowej „Czytelnik” wydał dwie świetne poezje z „krajowych” powieści Jeża: „Niezaradni” i „Dyplomacja Szlachecka”.

Ukazały się ponadto dalsze tomy pism **DYGASINSKIEGO** („Beldonek”), nieco dawniej wszystkie powieści i opowiadania **MARII DĄBROWSKIEJ**. Poza jakimkolwiek zbiorem, ale w ogromnych ilościach nakładów i tytułów, raz po raz pojawia się **J. I.**

KRASZEWSKI.

CO ZA FESTIWAL?

Zakomunikowano nam, że odbędzie się festiwal filmów czechosłowackich. Piękna rzecz. Bardzo wygodnie jest obejrzeć w krótkim przeciągu czasu kilkanaście filmów jednej produkcji —

nabiera się wtedy o niej pełniejszej opinii. Niestety — festiwal został tak zorganizowany, żeby uniemożliwić przeciętnemu obywatelowi obejrzenie dużej ilości tych filmów. W każdym wielkim mieście Film Polski wytypował dwa kina, które przez przeciąg jednego tygodnia grają same czechosłowackie filmy, codziennie inny. Ponieważ przeciętnie pracujący człowiek nie może być w kinie częściej jak raz w tygodniu — (najwyżej dwa razy — gdy chodzi trzy, to znaczy, że balwan nie poza tym nie ma do roboty;) — więc też ujrzy jeden film czeski, jeżeli będzie miał szczęście dostać się do tych wybranych kin. Wydaje się nam, że festiwal winien być pomyślany inaczej. Przez miesiąc wszystkie kina — (albo ich większość) — winny grać wyłącznie filmy czechosłowackie. Każdy obraz winien być wyświetlany minimum

tydzień. Widz filmowy mógłby wybrać sobie obrazy najbardziej go interesujące i chodzić nań w dniu, gdy praca jego nie poniesie na tym uszczerbku. Inaczej — to jest tak jak obecnie — rzecz mija się z celem!

STRATY LITERATURY POLSKIEJ

Związek Literatów Polskich przygotowuje do druku dzieło pamiątkowe „Straty literatury polskiej 1939 — 1945”, obejmujące życiorysy pisarzy polskich zmarłych w czasie wojny. W związku z tym Zarząd Główny ZLP prosi wszystkich posiadających jakiegokolwiek informacje, dokumenty, materiały dotyczące życia i twórczości zmarłych pisarzy, ze szczególnym uwzględnieniem mało znanych lat wojennych, o nadsyłanie ich na adres Zarządu Głównego ZLP (Warszawa, Stalina 35).

FILM

Jan Rohacz z Dube

(Scen. O. Różycki i S. Spalova
reż. W. Borski)

„Jan Rohacz z Dube”, pierwszy film czeski w kolorach naturalnych, został wyprodukowany w 1941 r. i należy go traktować jako podwójny eksperyment realizatorów, jest bowiem próbą epiki historycznej i techniki naturalnych barw.

Treścią filmu są historyczne wypadki z 15 w., okresu wojen husyckich w Czechosłowacji. Wybrany został moment historyczny, kiedy walki były szczególnie skomplikowane, obok motywów religijnych i społecznych dołączył się motyw narodowościowy. Film usiłuje wydobyc i pokazać procesy historyczne, siły, które wyróżniają ten okres dziejów, pokazuje środowiska, które w tej walce brały udział. Akcja zostaje skonstruowana w ten sposób, że w jej ramach następuje narastanie dążeń wolnościowych, pokazani zostają ci, którzy albo z obozu wrogości, albo z obozu zajmującego postawę wyciekającą przylaczają się do początkowo nielicznej grupy ludzi świadomie walczących o swobodę sumienia, sprawiedliwość społeczną i niezależność polityczną. Ta część koncepcji realizatorów wydaje się udana, ale drażniący i sztuczny jest wybór stylu, tonu narracji, który można by nazwać monumentalnie patetycznym. Obok procesów zbiorowych film zawiera kilka indywidualnych wątków dramatycznych, które zresztą pokazane zostały w tym samym pełnym patosu tonie i które robią wrażenie sztuczne i nie zostały logicznie powiązane z akcją historyczną. Szczególnie fałszywie zbudowany jest wątek miłości polskiego rycerza z córką Jana Rohacza. Ten epizod jest niewątpliwie błędem scenariusza, niepotrzebnie rozbija jednolitość akcji, błędem powiększonym przez reżysera, który bardzo nieszczęśliwie wybrał Hodačzwą, odtwarzającą postać Ludmiły. Ani Ludmiła, ani ów rycerz Polak nie budzą w widzu sympatii, są tak papierowi baśniowi, że ich los nie wzbudza żywszego zainteresowania, mimo miłych akcentów przyjaźni polsko-czeskiej. Wątek ten jest jeszcze i dlatego „ślepy”, że nie dowiadujemy się dlaczego zapowiedziana pomoc polska nie przybyła. W koncepcji filmu, który ma odsłonić wielkie ważne procesy historyczne, zajęcie się jednym rycerzem, który dlatego, że pokochał czeską dziewczynę poświęca swoje i swego giermka życie w walce ludu czeskiego, jest przykrym dysonansem. Gdybyż chociaż tym Polakiem kierowały nie osobiste afekty, a jakieś względy ideowe!

Zaletą filmu są sceny zbiorowe, piękne zdjęcia i barwy. Z wykonawców wyróżnia się Władysław Bohacz w roli mnicha Rokiczana, Otomar Czermak w roli cesarza Zygmunta i Otomar Korbelar jako Jan Rohacz.

Uderzająco dobra widowiskowość tego filmu jest jednocześnie jego błędem w innym sensie. Wydaje się że realizatorów tak dalece zajęła plastyczna wizja monumentalnych scen zbiorowych i batalistycznych, że często ze szkodą dla jasności i konstrukcji filmu główny akcent położyli na estetycznej plastycznej wymowie obrazów.

Oburzająco jest polski przekład, pełen anachronizmów, i błędów.

Jeśli trudno było znaleźć kogoś który w polskim przekładzie stylizował poprawnie dialogi, należało dać przekład w bezpretensjonalnym, pozbawionym wszelkiej stylizacji języku.

Jerzy Artemski

LESZCZ

Z MITOLOGII NIEDOSTATECZNIE

Nie przejmował się zbytnio Jan Giraudoux (a może tłumacz?) treścią mitu stanowiącego genealogię Herkulesa, skoro w sposób dość bez troski pomieszał ze sobą wierzenia Greków i Rzymian.

Spojrzenie na listę osób występujących w sztuce „Amfitrion 38” musi wzbudzić pewne podejrzenia. Jowisz i Merkury obok Ledy i Alkmeny? Coś tu chyba nie jest w porządku. Można by od biedy darować francuskiemu dramaturgowi to potknięcie, gdyby nie fakt, iż wywołuje ono pewne zamieszanie w przyjętej już ogólnie, charakterystyce postaci mieszkańców Olimpu. Związka Merkury absolutnie nie ma nie wspólnego z losami Amfitriona i Alkmeny. Potężnemu bogowi bogów mógł towarzyszyć w jego erotycznych eskapadach tylko Hermes, piastujący jak wiadomo oprócz wielu innych funkcji, również godło siły rozrodczej. Zeusowy powiernik w sprawach miłości styka się z Merkurym tylko na stosunku wąskim odcinku patronowania kupcom. Nieporozumienie (pomijając wagę merytoryczną) dość istotne. Fakt jego istnienia świadczy o zupełnej przypadkowości w doborze kanwy, na której

Giraudoux chciał pogadać sobie z teatralną publicznością. Dzieje miłości Zeusa do Alkmeny, miłości, która, bądź co bądź, tym sobie między innymi sławę zdobyła, że była ostatnim romansem niezbyt wiernego małżonka „bioloramienniej” Hery, posłużyły tylko za pretekst do osiągnięcia zupełnie innego celu.

Kazirodcze zapędy Zeusa (Alkmena była ponoć jego wnuczką) stwarzają nieia okazję do scenicznego rozwiązania zamierzonych kpiniek z człowieka.

Czy realizację zamierzeń można uznać za udaną? Raczej nie. Nie wiezrże osobiście w to, by największe nawet pióro podołało arcytrudnemu zadaniu bawienia widza przez 2 godziny samą tylko żonglerką słowem.

„Amfitrion 38” przypomina mi podreżony koszyczek babuni, w którym w jeden kłębek zmotane zostały różnokolorowe nitki wełny. Mozaika ledwie zarysowanych problemów i problemików. Cocktail bardzo dowcipnie stawianych, ale rzadko tylko rozstrzyganych spraw ludzkich.

Czegóż to nie ma w tym koszyczku babuni? Oto nitka wyobrażeń człowie-

ka o samym sobie, bajecznie kontrastująca z tą koncepcją, dla której Gromo władny zdecydował się stworzyć człowieka. Oto we wzorzystej mozaice zabłyśnie nagle pod wpływem światła, jakie nań kieruje Giraudoux, kamyczek uosabiający wielkie przywiązanie człowieka do spraw ziemskich. Oto pod wpływem sprytnie dokonanej analizy z piętego cocktailu odczuwany przede wszystkim smak miłości i wierności małżeńskie.

Kalejdoskop ukazuje piękne obrazki — każdy poprzedni łączy się z następnym bardzo luźno, każdy właściwie istnieje tylko sam dla siebie. Całość stanowi misterna zabawkę przeznaczoną dla garstki wybranych smakoszy. Teatr Giraudoux jest elitarny. Nie sądzę, by teza ta podlegała jakiegokolwiek dyskusji. Autor „Amfitriona” bawi zreżymie intelekt widza, nie podejmując próby przedłużania zabawy poza czas trwania spektaklu. Dalsza analiza tej postawy autora właściwie nie ma sensu. Jest mało prawdopodobne, aby słowa krytyków mogły przekonać Giraudoux. Sprawa jednak nabierze innego wyglądu, gdy będziemy usiłować ustalić użytkowe wartości tej sztuki. Giraudoux może pisać tak, jak chce, Korzeniewski może tłumaczyć to, co mu się podoba — teatry jednak powinny bardziej pamiętać o stokrotnie już chyba sprecyzowanej swojej roli społecznej. „Amfitrion 38” jest importem zbyt luksusowym, jak na nasze potrzeby. Francuskie jedwabie są piękne — bardziej jednak na czasie byłoby pełne nasywanie rynku stuprocentową, mięsistą, trwałą wełną.

Nie jest to krytyka polityki repertuarowej teatru „Rozmaitości”. Daleki jestem od wszelkiego ostracyzmu. Problem, o którym mowa wyżej, trzeba jednak stale stawiać przed oczyma w sposób bardzo mocny. Ma to być przestroga przed zbyt powszechną ucieczką do „Amfitrionów”.

W kunsztownym i precyzyjnym opracowaniu spektaklu w „Rozmaitościach” istnieją tylko dwie skazy. Wydaje się, jakby B. Korzeniewskiemu (tłumacz, inscenizator i reżyser w jednej osobie) zabrakło tutaj i inwencji i środków. Mowa o Trębaczcu, którego naprawdę trudno znieść na scenie i o równie naiwnym jak prostackim „balecie”. Poza tymi denerwującymi szczegółami spektakl wart jest wysokich pochwał, zarówno za dowcipną i pomysłową reżyserię, jak i za wysoki poziom gry aktorskiej.

Bohdan Korzeniewski zaczyna wyrażać sobie własny styl reżyserski, polegający na finezyjnym podkreśleniu właśnie owych smaczków intelektualnych. Tak było w „Tarekcinie” i tak

Andrzej Łepkowski

W przejeździe

*Sykanie zwrotnic odpadło od kół.
W przebudzeniu stanęła czerń i blask.
Na wietrzniku zawisł ogień i chwiał się.
Śpiew zwrotnic zgasł —
Zabrał go tunel,
W grzmocie, zwrócił oczom —
.....Śląsk*

*Gorzały krzewy przesęł.
W gliniankach kipiwały dna.
Kominy szły — nie nadązały.
Z rozciętych ścian bluzgały wnętrza.
Ognisty mit skraplał się w kształtach —
— Stygl.*

*Tu nigdy nie przychodzi
noc domów z ogródkami,
które uwikłał gacek
płatanną lotu.
Tu nigdy nie będzie
dnia wygładzonego wiatrem
z jeziorom upuszczonym
na jaskrach —
Doby spiętrzonego loskotu —
Wieże nawijają wyciągi — furkot obręczy
Stadiony szyn — kwietniki semaforów.
Z hałd brzękają latarki.*

*W przelocie iskier, nocne zmiany...
Nasyp przekreśla patrzenie —
Czerwona czapka na wjeździe —
— Dworzec głów.*

Do P.T. Czytelników

Niniejszym zawiadamiamy, że od dn. 1 września 1949 r. Redakcja i Administracja „DZIS I JUTRO” mieści się Warszawa, Mokotowska nr 43 I-sze piętro Sekretarz Redakcji przyjmuje codziennie, prócz poniedziałków i piątków w godzinach 12 — 13-14

Czytelnik uważa, że...

SZANOWNY KOLEGO
REDAKTORZE.

Od chwili ukazania się mojej książki „Przemarsz przez piekło”, otrzymuję nieustannie zapytania rodzin i towarzyszy broni o uczestników powstania warszawskiego.

Oczywiście na niektóre zapytania nie mam odpowiedzieć, więc starym zwyczajem zwracam się do naszych Czytelników.

Pan Jerzy Buyno, Warszawa, ul. Polna 46-a, zapytuje o swojego przyjaciela, podporucznika Łalka, dowódcę plutonu „Mieczków”. Prawdziwe nazwisko Stanisław Harasymowicz. Był z ręką z Wojska Polskiego zagranicą. Brał udział w walkach o Stawki i podobno zmarł z ran w dniu 3 sierpnia, w szpitalu Jana Bożego. Przyjaciel chciałby dowiedzieć się, gdzie został pochowany i kto był świadkiem jego śmierci.

Pani Zofia Mazowiecka (do redakcji naszego pisma) zapytuje o podporucznika Kazimierza Osuchowskiego, skoczka z Włoch. Był internowany w Mirandzie. Zginął w powstaniu. Chodził zgarbiony, w binoklach, czynił wrażenie uczynnego, znał dobrze kilka języków. Prosi o skontaktowanie się z jego rodziną.

Pani Anna Mężyńska, Biała Podlaska, ul. Warszawska 82, zapytuje o swojego syna Bogdana, noszącego pseudonim Bogdan Grawina ze zgrupowania „Harnaś”, z kompanii „Grażyna”. Matka miała ostatnie wiadomości o nim w 1939 roku z Warszawy, gdzie mieszkał i pracował. Matka prosi kolegów o wiadomość, gdzie i kiedy zginął. Może uda się ustalić z fotografii.

Pani Jadwiga Andrzejewska, Warszawa, ul. Czerwony Krzyż nr 16 m 27, zapytuje o swojego syna Lecha, pseudonim Korab. Przebywał w stallagu Sandbostel, a następnie został przeniesiony do Marckpongau.

Po uwolnieniu miał podobno udać się do Włoch, gdzie zapisał się do jakiejś formacji Wojska Polskiego, w obozie Sant Gorgio. Matka prosi o wiadomość o nim.

Pani Zofia Czerska, Komorów, ul. Brzozowa 9, matka porucznika Rawicza, który zginął przy pierwszej próbie przebiecia się oddziałów leśnych z Zoliborza na Starówkę, prosi o nazwiska i adresy kolegów, którzy brali udział w tej akcji.

Pani Stanisława Drac, Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 62, zapytuje o swojego syna sierżanta Edka, z batalionu „Zośka”, z kompanii „Rudy”: mówiono, że zginął przy wzięciu do kanału w ostatnich godzinach obrony Starówki. Matka zapytuje, gdzie został pochowany. Ciało miało być ekshumowane z Ogrodu Krasińskich.

Pani Halina Kotowska, Warszawa, ul. Chmielna 1/3, Spółdzielnia „Jedność Łowiecka”, zapytuje o swojego męża, Romana Trzaskę - Kotowskiego, majora, noszącego pseudonim Okoń, dowódcę batalionu „Pięść”, walczącego na Woli i Starówce, następnie po przedarciu się do puszczy Kampinoskiej, dowódcę zgrupowanych tam oddziałów puszczańskich.

Miał rzekomo zginąć w czasie rozbiicia oddziałów puszczańskich w bitwie pod Jaktorowem w dniu 29 września 1944 roku. Przy ekshumacji żonie nie udało się rozpoznać zwłok. Żona prosi wszystkich podkomendnych majora Okonia o szczegóły jego ostatnich chwil.

Stanisław Podlewski

Szanowna Redakcjo!

Wielu ludzi narzekało i narzeka na charakterystyczny dla polskiej kultury brak ciągłości i kontynuacji (zwracano uwagę, że Polacy nie mają swojego słowa na pojęcie „kontynuacja”). Chcąc w miarę swoich sił przyczynić się do przezwyciężenia tej wady narodowej, postaram się nawiązać do przeprowadzonej i omówionej przez Gołubiewa (w „Tygodniku Powszechnym”) ankiety na temat powieści. Zdaje mi się, że tego rodzaju badanie opinii publicznej ma niezwykle wielką wartość dla teoretycznego badania i oceny zjawisk literackich.

Bilans ankiety był dla powieści zdecydowanie przychylny. Wyjawiał on, jak wielką popularnością cieszy się powieść w całym społeczeństwie. Wysuwano ważne argumenty dowodzące jej wartości. To mnie skłoniło do wypowiedzenia swojego zdania, gdyż zaliczam się do ludzi mniej przychylnie nastawionych do tego gatunku literackiego. Ponieważ w ankiecie powiedziano dość dużo o zaletach powieści, więc ja raczej

ograniczę się do oskarżania jej.

Łatwo zauważyć (i ankieta T. P. świadczyła o tym również), że bardzo wielu ludzi traktuje powieść nie jako zdobywanie wiedzy o świecie i człowieku, nie jako przygotowywanie się do życia (w najszerszym znaczeniu tego słowa), ale właśnie jako ucieczkę od życia, jako stwarzanie sobie namiastki życia. To niczego nie dowodzi, że w pojęciu największych twórców ich powieści miały być czymś zupełnie innym. Dla nas istotna jest postawa czytelnika. Ośmielam się twierdzić, że jeśli chodzi o ogół czytelnicy, jeśli chodzi o istotne przyczyny ogromnej popularności powieści, to sprawą zasadniczą jest właśnie rola powieści jako namiastki życia.

A przecież wszelkie namiastki, wszelkie formy ucieczki od rzeczywistości są w istocie szkodliwe. Czy znacie typ człowieka żyjącego w urojonym świecie powieściowym, człowieka niezdolnego do praktycznego realizowania swoich ideałów w życiu? Rzecz jasna, że obrońcy powieści wysuną tu argument, iż należy po prostu pracować nad zmianą tego nastawienia i wychowywać czytelników tak, by widzieli w powieści naprawdę dzieło sztuki otwierające im oczy na głębsze rozumienie rzeczywistości. Ale tu rodzi się poważna wątpliwość: czy w samej istocie powieści jako gatunku literackiego nie tkwią pewne elementy, które w jakiś sposób kwalifikują ją do roli narkotyku? A z drugiej strony: czy pozytywne i wartościowe zadania powieści nie mogłyby przejąć inny gatunek literacki, pozbawiony jej cech szkodliwych? Ja widzę ten gatunek, mogący w przyszłości zastąpić powieść, w jak najszerzej pojętym esseyu literackim.

Tu nasuwa się jeszcze inna sprawa. Wielu ludzi twierdzi, że na powieści szkoda im czasu. Tym samym ludziom nie szkoda często czasu na czytanie poezji. Przyczyna wydaje się jasna: powieść jest przeważnie dość długa. Ale to nie wszystko. Nie mniej ważną sprawą jest to, że proza powieściowa jest w stosunku do poezji najczęściej o wiele mniej zwarta artystycznie, o wiele mniej skondensowana, o wiele bardziej rozwodniona, nawet w bardzo dobrych powieściach. Często jeden dobry wiersz czy fragment poematu daje większą sumę doznań artystycznych niż kilka rozdziałów powieści. Wiąże się to z rolą powieści, mającą na celu możliwie długotrwałe oderwanie od realnych spraw życiowych, nie może być stylistycznie skondensowana, bo wtedy byłaby lekturą zbyt męczącą.

Tyle moich uwag o powieści. Jeśli się z nimi nie zgadzacie, to możecie je atakować.

Zbigniew Kliks

SZANOWNY PANIE
REDAKTORZE!

Organ Towarzystwa Popierania Smutku i Rozpaczy — „Szpilki” zamieścił w swym „Gabiniecie Osobliwości” przekład wiersza Goethego, „Malięd”, który drukowałem na łamach „Dzisiaj i Jutro”. Przekład ten może być zły lub dobry, udany lub nieudany. Nie ja jestem osobą kompetentną do wyrokowania w tej kwestii. Pan „m” w „Szilkach” natrząsa się z mego przekładu i powiada: he, he, he, patrzcie jakie to śmieszne!

Chodzi tutaj jednak o nieco inną sprawę. W „Camerze obscurze” „Odrodzenia”, w tym samym czasie podano krytyce przekład pewnego wiersza Majakowskiego. Zrobiono to w sposób rzeczowy, zestawiając go z dobrym przekładem i tym samym wykazano bezwartościowość omawianego tłumaczenia.

Pan „m” nie pokusił się ani o zestawienie mego przekładu z oryginalnym, ani z innym lepszym przekładem, tym samym nie tyle uderza we mnie, co w Goethego, przeciw czemu chciałbym w tym miejscu zaprotestować, gdyby nie pewna bardzo istotna sprawa. Panie Redaktorze, „Gabiniet Osobliwości” w „Szilkach” płaci po 250 zł za wycinek, więc gdyby tak Pan na przykład, miał pusty portfel i pusty „Gabiniet Osobliwości”, to, co by pan zrobił?... Dwieście pięćdziesiąt złotych nie zawsze chodzi piechotą.

Wyrazy szacunku i poważania łączę z Jana Wilkołaza Goethego —

Marek Antoni Wasilewski

Noc pośród głębokich nocy

(Dokończenie ze str. 3)

go? Jak? Kiedy? Kim jestem? Czym jest wszechświat? Czym prawda i Bóg?

Ale jeśli o ciebie chodzi, to ty, Francis Sable w ciągu trzydziestu lat życia sztukałeś odpowiedzi na pytania o prawdzie i Bogu. Och! Czytałeś filozofów, wertowałeś Hegla i Descartes'a Platona i Spinozę, Schopenhauera i Epikura równie gorliwie, jak czytał Arystotelesa Augustyn. Ale czy prawdy szukałeś, czy było to wyłącznie częścią twego wykształcenia? Czyż prawda ostateczna i dobro najwyższe było twoim celem, czy nie było to po prostu akademickie zainteresowanie filozofią? Wiedza twój ja i przeżycia szczęścia były przypadkowe, oparte o niepewne podstawy materialnego świata, którego granice zacierały się gdyś się ku nim przybliżałeś...

A jednak, jakże szukałeś tych horyzontów, przywiązany do racjonalizmu, twoich przyziemnych pewników, jak gdyby zapomniając, że można kpić z Boga, w rzeczywistości z tych czynów moralny stwarzając obowiązek w dowód swej wolności. Wielbiłeś Shelley'a, jak Wergilego wielbił Augustyn. Płomienny Shelley z całą swą melodyjnością nie wystarczał już twym wymaganiom; czegoś ci było potrzeba poza doczesnym urokiem i uniesieniem zmysłów. Trzeba ci było błogosławieństw duchowego pokoju i pewności istnienia rzeczy wiecznych.

Przypomniał sobie, że w tym szalałeś, dziesięć tysięcy stóp ponad cywilizowanymi miastami,

nie, różnobarwne i najbardziej pomysłowe afisze reklamowe. Dziesiątkami, setkami, tysiącami. Orgia reklamy ogarniały Paryż. Gdy przejdzie pierwsze wrażenie, gdy oko się do tych kolorowości przyzwyczai — narzuca się natrętne pytanie — czy ta orgia reklamy nie zakrawa w istocie na nonsens, tak gospodarczy jak i społeczny, bo właściwie gdzie jest gwarancja, że tysiącami rozlepione reklamy, najkrzykliwsze tytuły, najświetniejsze neony reprezentują istotnie towar najlepszej jakości, a nie przedsiębiorcę najszlachetniejszego finansowo?

Rozkwit konkurencji jest jednak dźwignią o ile nie gospodar ki, która na tym obiektywnie traci miliony, to co najmniej psychiki współczesnego konsumenta. Ma on sobie uświadomić pełną swobodę wyboru i celowość kupowania tego, co najefektowniejsze i w istocie najdroższe. Stąd najbardziej nieprawdopodobne hasła firmowe: „Aux trippes du Diable” — „Gospoda pod diabelskimi flakami” ogłasza się jakaś knajpa w okolicach wielkich hal — „Aux Assassins” — „U morderców”, reklamuje się inna. Po ulicach Paryża jeżdżą potężne fargony wytwórni mebli domowych — „Le lit national” — „Łóżko narodowe” — nieprawdaz jak to pięknie brzmi?

Marceli Jacquet jest królem, a może prezydentem paryskich włóczęgów. Jest ich w tym mieście „zarejestrowanych” dwadzieścia tysięcy ludzi — rozbitków życiowych, wyrzutek

mi, rozważając swe życie, widział je jako ciąg liczb malejących w nieskończoność. Od tego czasu odbywał wędrowkę do kresu nocy, znalazł się na ślepych torze, wśród nocy czarniejszej niż wszystkie inne; teraz poczuł, że wydstaje się ku dziennemu światłu, przełamuje twardą skorupę doczesności. Zaczyna wierzyć w istnienie pozamaterialne, w to, że porządek świata i władanie ludzkim życiem należy do istoty, której nie obejmują materialistyczne wyjaśnienia.

Cała pozafizyczna część twej osobowości żąda istnienia niezmiennego i przez to wiecznego; tą wyższą rzeczywistością jest prawda ostateczna, absolutna. Tą prawdą absolutną jest Bóg...

Uderzony rozumowaniem Francis Sable odczuwał, że otwierają się przed nim wielkie możliwości, nieograniczony żywioł przenika stulecia i przesila te, co nadejda. Płynął z wiatrem przez nieogarnione przestrzenie, wśród gwiazdnych łąk. Wspiał się poprzez chmury, ponad świat materii, jakże drobny, wąski, ograniczony aż do panowania jasności. Noc pośród nocy była poza nimi. Cokolwiek się zdarzy, będzie dzień.

Zgasił świecę gniojąc knot pod palcami i nagle rzuciło się z ciemności dziecinne pytanie; co się dzieje z płomieniem, gdy się go zgasi? Nie ma go, ale nic co stworzone, nie przestaje istnieć; nie ma takiego pojęcia jak nicłość. Dokąd dąży płomień du-

cha, gdy go zdmuchnie śmierć fizyczna?

O Cathryn, życie twego ciała zgasło, ale twój byt i umysł i duch... Ciało prochem powraca do ziemi, a dusza — spadło na niego w błysku łaski — do Boga wraca, Stworzyciela, Ducha Najwyższego, którego jest częścią, skoro ją na podobieństwo swoje uczynił.

„I słyszałem, jak tylko serce słuchać potrafi, i nie było już miejsca dla wątpliwości”. Tak było z Augustynem z Hippony; i czy inaczej łaska może zstąpić? „Późno umiłowalem Ciebie, Piękności, tak odwieczna razem i tak nowa — późno Cię umiłowalem”.

Cathryn, wołał sercem, Cathryn. Dlatego musiałem tu powrócić, aby ciebie odnaleźć. Musiałem ujrzeć to światło na szczytach. Musiałem poznać świt.

Z ciemności, leżąc, patrzył w gwiazdy. Słuchając wiatru czuł, że całą jego istotą opróżnioną łaską, światło jasne i łagodne jak światło wieczoru, kiedy szli z Cathryn z Schultzburga jak jaśność Champs - Elysées, gdy trwała w nich niezmienna szczęśliwość, gdy ona po cichu śpiewała końcową arię z Pasji św. Mateusza.

We wspomnieniach krążyły mu w głowie miękkie tony i kojące słowa — Leż cichutko, leż cichutko, cicho śpij...

Pod zamkniętymi powiekami widział ją uśmiechniętą.

Jutro będzie dzień — mrucał usypiając.

Ethel Mannin

Światła i cienie nad Wielkim Miastem

(Dokończenie ze str. 5)

wszelkich warstw społecznych, rytatywnych o łącznym budżecie trzech miliardów dwustu milionów franków może zapobiedz nędzy, jeśli ta „nie została przewidziana przez społeczeństwo?”

Do Panteonu zostały wniesione mocą uchwały Izby Deputowanych dwie trumny, zawierające szczątki wielkiego uczonego i wielkiego francuskiego działacza społecznego. Wraz z nimi weszła do Panteonu trumna nikomu nieznanego ojca jednego z nich, gdyż słynny syn w swym testamentem wyraził życzenie spoczywania u boku swego ojca.

W muzeach paryskich kryją się najcudowniejsze na świecie dzieła sztuki z pietyzmem i znanstwem gromadzone przez stulecia. Pałac Biron zgromadził najpiękniejsze dzieła genialnego Rodina, a jego „penseur” — „myśliciel” jest chyba najpełniejszym wyrazem plastycznym intelektualnego wysiłku twórczego.

Natomiast wśród reklamowych ogłoszeń można znaleźć wiadomości, że wszystkich najwybitniejszych filozofów egzystencjalistów można zobaczyć codziennie w godzinach popołudniowych w kawiarni „Les Deux Magots”...

Patrzę i zastanawiam się — czy jestem „zachodnio-europejskim”?

Wojciech Kętrzyński

Redagują: Bolesław Pasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; I p. Konto P.K.O. — Nr. 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz poniedziałków i piątków, godz. 12 — 13.

Druk. Skolimowska 5.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.

B-80297